

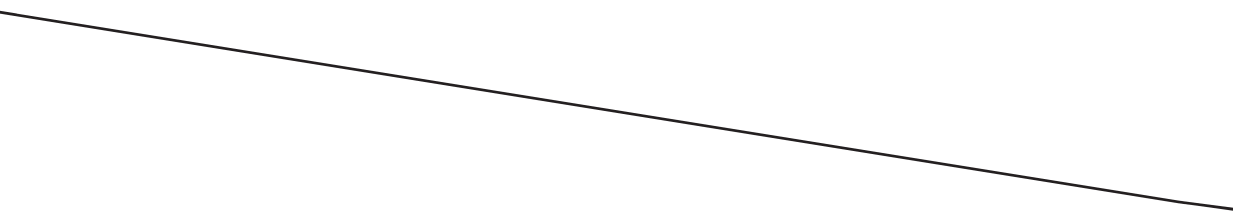
JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU 2025



ABO

NIEBO

PIE  LO
ABO
NIEBO





ABO

NIEBO

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Konsultacja języka śląskiego:
Marcin Melon

Projekt graficzny:
Mateusz Maleńki

Realizacja wydawnicza:
Stapis

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations
oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2025

ISBN 978-83-63304-65-2

SPIS TREŚCI

GODKA SPOIWE M DLA PAMIĘCI	7
Rafał Czechowski	
NAUKA WYŚŁOWIENIA	8
Zbigniew Kadłubek	
ŚŁONSKO GODKA - WIELOFUNKCYJNE NARZĘDZIE	10
Weronika Górka	
ELEGIA DLA ŚŁAZAKÓW	12
Waldemar Szymczyk	
PIEKŁO ABO NIEBO	13
Marcin Woźniak	
KEBY NIY TA ŁADOWARKA	22
Joanna Sodzawiczny	
BOGUCKO TRAGEDYJO, RICHTIG PIYRSZE ŚLŌNSKE TRUE CRIME	34
Maciej Derda	
SZTUDYNTKA I ŐMA	47
Bożena Donnerstag	
SZTRAJK „GIESCHE” 1937	58
Krzysztof Kokot	
SILESIONAUCI A NIYSKOŃCZONO RAJZA	73
Kornel Sadowski	
WILIJNO NOCKA	87
Małgorzata Sikora	
CUFAL	96
Maria Tyman	
COSIK NOWEGO	112
Bartłumiej Wanot	
ŐN CZYLI O KROK OD RATHAUZU	118
Peter Wiescholek	

GODKA SPOIWEM DLA PAMIĘCI

Rafał Czechowski, założyciel Imago Public Relations,
współorganizatora konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Od piętnastu lat „Jednoaktówki po śląsku” są o języku, literaturze i o teatrze. Jest to równie oczywiste, jak oczywisty jest tytuł każdego słownika. Wydaje się więc, że mało zasadne jest pytać dzisiaj o sens tego przedsięwzięcia, jakkolwiek w miarę okrągła rocznica skłania do filozoficznej refleksji.

Wszak to dobrze już oswojony, dojrzały projekt, z czytelnym wektorem skierowanym ku śląskiej tożsamości jako wartości wymagającej uważnej pielęgnacji ze względu na historię i na przyszłość naszego regionu. Z zamysłem, by język uczynić spoiwem dla pamięci zagmatwanych losów tego skrawka ziemi, emocji przefiltrowanych przez czas wielu pokoleń, ludzkiej wrażliwości i wyobraźni, a także talentu snucia żywych opowieści.

Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej, używając pryzmatu czasu, widać, że nasze jednoaktówki rozszczepiły ten pierwotny cel i sens na wielobarwne pasma, bo niemal każdy z autorów ponad pięciuset dramatów nadesłanych na konkurs ubogacił go własnymi

znaczeniami. Widać więc zróżnicowanie języka, mimo niewielkich odległości między *heimatami* autorek i autorów, a także niejednolity przebieg geograficznych granic tożsamości oraz jej odcienie właściwe poszczególnym pokoleniom.

Niniejsza, czternasta już, antologia jest na to niezbitym dowodem.

Przez piętnaście lat udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, że *godka* – niezależnie od jej prawnego statusu – może służyć jako środek wyrazu dla bezwarunkowo każdego komunikatu, w tym każdej emocji. Że – choć to niełatwa materia tak dla piszących, jak i czytelników – pozwala się okiełznać jako tworzywo literackie. I że nie tylko nie stawia barier, ale wręcz uwalnia kreatywność. Odkryliśmy przy okazji niezwykle talenty wśród autorek i autorów, których twórczość rozkwita także poza ramami konkursu!

Wszystko to sprawia, że „Jednoaktówki po śląsku” napawają nas dumą i poczuciem, że coś ważnego się udało.

NAUKA WYŚŁOWIENIA

Zbigniew Kadłubek, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Wolałbym najpierw dobrze poznać własny język.

Michel de Montaigne, *Próby* (1580)

Jak się wysłowić? To znaczy, w jaki sposób wyjść z własnej głowy, z własnych kłębowisk myślowych – do słowa. Nie tylko do języka – lecz właśnie do pięknego słowa, powtarzam: do pięknego słowa. Na Górnym Śląsku wcale nie musi to być trudne. Wyjaśnię dlaczego. Dotychczas wielu – przede wszystkim tym, którzy traktowali Górny Śląsk jako nagrodę, łup, majątek – wystarczał Górny Śląsk wytwórczy, lecz teraz, gdy Górny Śląsk twórczy wylazł zza kurtyn i historii, sprawy górnośląskie nieco się skomplikowały. **Ujrzał świat bowiem poetycką twarz Górnego Śląska.** Zeszły górnośląskie Muzy do Ślązaczek i Ślązaków z hałd – jak niegdyś Muzy z Helikonu do Hezjoda. Powiedziały, czym są prawa, czym jest sztuka, jak należy tworzyć wspólnoty, jak należy śpiewać, i dodały, że ze sceny dobędzie się piękne śląskie słowo. Słowo to zabrzmia głośno – słychać je będzie szeroko.

Nastawanie w porę i nie w porę to szczególnie śląska zaleta albo, używając dawniejszego języka, śląska cnota. Nastawanie nie jest uporem, nastawanie nie jest zawziętością. **Piętnaście lat jednoaktówek po śląsku to**

piętnaście lat wytrwałego terminowania w szkole Muz. Piętnaście lat nastawania w porę i nie w porę ze śląskimi zdaniami płynącymi ze sceny, płonącymi w sercach. **Nie zdajemy sobie dzisiaj jeszcze sprawy z faktu, że jednym z największych projektów rewitalizacyjnych na Górnym Śląsku był konkurs na jednoaktówkę po śląsku.** Była to praca z niematerialnym dziedzictwem. Najtrudniejsza praca, największy wysiłek. Zabezpieczenie najgłębszego śląskiego szybu, z którego dobywa się mentalność, duchowość i fantastyczna skłonność do budowania relacji. Jednoaktówki po śląsku wcale nie musiały być wypowiedane w idealnej śląszczyźnie. Czymże byłby zresztą ideał słów śląskich? Ale wszystkie rejestry śląskich uczuć pojawiły się w jednoaktówkach po śląsku. W słowach na scenie śląskiej można było usłyszeć obietnice, wspomnienia, żal, nadzieje, troski, humor, szept. Momenty najbogatsze i święte, szczęśliwe i pełne emocji, a także te sprawy, które wciąż bołą, wybrzmiały w tekstach autorek i autorów tworzących jednoaktówki po śląsku. Gdy przegląda się kolejne tomy napisanych po śląsku jednoaktówek, odczuwa się

wdzięczność. Łaska teatru, łaska słowa scenicznego nas wzrusza. Trzeba jednak także podkreślić, że łaska słowa scenicznego po śląsku dawała Górnoślązaczkom i Górnoślązakom przez prawie dwie dekady oparcie. **Konkurs związany z jednoaktówką po śląsku to pewna heroiczna epoka.** Czas kreacji i walki, czas poznawania się i samopoznania górnośląskiej duszy. Samopoznanie działa nie wedle maksymy: poznaj samego siebie – lecz wedle mądrości: wciąż poznawaj samego siebie od nowa i na nowo. I to się działo – gdyż Górnoślązaczki i Górnoślązacy ze swoim językiem wciąż się stają, nieustannie są w procesie ustanawiania się i powstawania.

Ten niezwykle dar konkursu na jednoaktówkę po śląsku zawdzięczamy wyobraźni oraz śmiałości wielu ludzi, instytucji, praw-

domówności niektórych mediów. Można powiedzieć, że owo piętnastolecie z jednoaktówką po śląsku przygotowało nas do zmian i dramatyczności czasu, w którym jesteśmy. **Na scenie przeciwcyliśmy niejedno – a teraz będziemy się musieli wykazać dojrzałością.** Piętnaście lat to dużo czasu. Ale czasu zawsze jest przecież mało; w każdym pokoleniu jest go niewiele. Jak pisze Rüdiger Safranski: „Czasu nie ma wiele, można się spóźnić na historię tak samo, jak na pociąg”. I wszyscy, którzy angażowali się w organizowanie konkursu jednoaktówki po śląsku, w logikę tego przedsięwzięcia, zdawali sobie z tego sprawę: **śląskie słowo musi zdążyć na historię.** Ten cud naprawdę wydarzył się w teatrze, na scenie, w jednoaktówkach, na naszych oczach, w naszych sercach.

ŚLONSKO GODKA – WIELOFUNKCYJNE NARZĘDZIE

Weronika Górską, recenzentka literacka i teatralna, pisarka

Ślonsko godka była językiem mojej babci, nie moim. W rozmowie każda z nas posługiwała się własną mową, z rzadka dopytując, co znaczy jakieś słowo wypowiedane przez drugą, bądź upewniając się, czy sama jest dobrze rozumiana. Śląski wybrzmiewał też czasem w ustach sąsiadów, ekspedientek w sklepach, niektórych kolegów i koleżanek z podstawówki czy dalszych krewnych. Kojarzył się jednak przede wszystkim z opowieściami o tym, jak to bywało przed i w czasie wojny na podcieszynskiej wsi, a nie z moją chorzowsko-katowicką, wypełnioną książkami terazniejszością z końca XX i początku XXI wieku. Język mojej babci stał się po części moim – aczkolwiek słuchanym i czytanim, nie mówionym – dopiero w ostatnich latach, kiedy zaczął coraz silniej zaznaczać swoją obecność w literaturze i teatrze.

Jednym z elementów renesansu *godki* jest konkurs „Jednoaktówki po śląsku”, zorganizowany od 2011 roku przez Imago Public Relations, katowicki oddział „Gazety Wyborczej” oraz Instytucję Kultury Katowice Miasto Ogrodów. Początkowo w nadsyłanych pracach dominowały historie podobne do tych snutych przez moją babcie, pełne pradziadków biorących udział w Powstaniu Śląskim oraz ich synów wcielanych do Wehrmachtu, trudnych związków miłosnych

między przedstawicielami różnych narodowości i wyznań, rodzinnych czy sąsiedzkich sporów. Częsty temat jednoaktówek stanowiły również Tragedia Górnośląska i obóz na Zgodzie, a wśród ich bohaterów dominowali górnicy oraz hutnicy. W późniejszych edycjach konkursu autorzy i autorki coraz częściej decydowali się pisać o Śląsku współczesnym, zachodzących w nim przemianach gospodarczych oraz kulturowych. Obok nostalgii, hołdu oddawanego tradycji oraz upamiętnienia bolesnych historii rodzinnych pojawiało się coraz więcej filozoficznych rozważań, a także humoru, lekkości i intertekstualności. *Godka* okazywała się nie tylko coraz sprawniejszym, ale też wielofunkcyjnym narzędziem, obsługującym wiele różnych zagadnień, wrażliwości, nastrojów, zdatnym do mówienia o specyfice Śląska, jak również do poruszania tematów uniwersalnych.

Wśród jednoaktówek, które szczególnie zapadły mi w pamięć i serce, znalazły się te pisane przez kobiety o kobietach. Ich autorki pozwoliły wyjść bardziej lub mniej tradycyjnym Ślązaczkom z zakłętęgo kręgu *Küche, Kinder, Kirche*, by pokazać własną tożsamość, swoje marzenia, lęki, siłę, słabości. *Rajcula warzy* Aliny Moś-Kerger to zarazem zmysłowy i zabawny monodram, którego bohaterka opowiada o śląskich potrawach, do każdej

z nich przyporządkowując anegdotę z życia rodziny lub sąsiadów, a także o pragnieniu kobiet, by czasem ugotować coś na szybko i wypocząć, zamiast spędzać długie godziny na kulaniu *gumiklejzów*. Bardzo poruszyła mnie również *Cera, matka, babcia, ośma* Joanny Sodzawicznej, której bohaterki przełamują tematy tabu – bolesne, jak alkoholizm i przemoc w rodzinie, oraz przyjemne, jak życie seksualne senierek.

Moją uwagę zwróciły też jednoaktówki umiejętnie nawiązujące do takich gatunków literackich, jak kryminał, science fiction, baśń, legenda, a zarazem czerpiące ze śląskiego folkloru i bestiariusza. Ich autorzy i autorki (Monika Kassner, Marcin Melon, Marcin Szewczyk) nie poprzestali zresztą na pisaniu tekstów na potrzeby konkursu, lecz zaczęli publikować poczytne powieści, utrzymane w podobnej konwencji, po śląsku lub przynajmniej ze śląskimi dialogami. Marcin Melon, należący do Rady Języka Śląskiego, podczas kilku ostatnich edycji „Jednoaktówek po śląsku” pełnił również rolę konsultanta, dzięki któremu śląszczy-

zna autorów, pochodzących z różnych regionów, od Zabrza i Rudy Śląskiej po Rybnik, Pszczynę i Cieszyn, w pokonkursowych publikacjach zyskała jednolity zapis. Wśród uczestników konkursu mogących się poszczycić literackim dorobkiem znajdują się też między innymi Krystian Gałuszka czy Aleksander Lubina.

Za największy sukces konkursu należy jednak uznać to, że wiele nadesłanych nań tekstów (w tym *Rajcula warzy* Aliny Moś-Kerger czy *Chop od moi baby* Marcina Melona) doczekało się scenicznej realizacji. Wystawiały je zarówno teatry profesjonalne, jak i amatorskie, między innymi z Chorzowa, Tychów, Bierunia. Docierając do szerokiej publiczności z całego regionu, propagowały nie tylko żywą *ślonskom godke*, ale też tożsamość, będącą wypadkową tradycji i nowoczesności. Dzięki nim z pewnością wiele osób takich jak ja, wychowanych bardziej w kulturze polskiej niż śląskiej, poczuło, że mowa, którą słyszało od babci, jest również po części ich własną i że można w niej wypowiedzieć się na każdy temat.

ELEGIA DLA ŚLĄZAKÓW

Waldemar Szymczyk, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku”

Kiedy dorastałem na katowickim Zawodziu, śląski otulał mnie jak powietrze. Był wszechobecny i naturalny – nie trzeba go było tłumaczyć ani definiować. Był na podwórkach, w tramwajach, sklepowych kolejkach. Miał swoje miejsce – mocne i pewne.

Na próżno było go jednak szukać w przestrzeni oficjalnej – na scenach teatrów, w urzędach, mediach czy w książkach. Tam panowała cisza.

Kiedy zaczynaliśmy 15 lat temu wymyślony przez Ingmara Villqista projekt jednoaktówek, marzyliśmy, aby język śląski pojawił się także w tej dotychczas niedostępnej dla niego przestrzeni. Chcieliśmy pokazać, że może zaistnieć na deskach teatrów. Że po śląsku można tworzyć dramaty, że można za jego pomocą mówić o miłości, o codziennych troskach, o historii. Że jest językiem pełnym, giętkim i bogatym.

Nie wiedzieliśmy, czy konkurs będzie się cieszył zainteresowaniem. W końcu jako pierwsi zdecydowaliśmy się zachęcić amatorów i zawodowców do pisania dramatów w języku, który dotąd kojarzył się z rubasznymi dowcipami, a nie z poważną literaturą. Ale kiedy termin zakończenia nadsyłania prac się zbliżał, zaczęły napływać jednoaktówki. Najpierw po kilka, potem po kilkanaście dziennie. To był sukces!

Dziś w księgarniach książki w języku śląskim leżą na półkach, język śląski coraz częściej rozbrzmiewa na scenach teatrów, słychać go w kinie, telewizorze, radiu. A jednak na ulicach, w autobusach, w codziennych rozmowach – pojawia się coraz rzadziej. Język, który był oczywistością mojego dzieciństwa, dziś staje się unikatem. Najprościej byłoby powiedzieć, że to wina decyzji politycznych czy braku wsparcia instytucjonalnego.

My jednak robimy swoje. Do pokazanego zbioru jednoaktówek po śląsku dodajemy w niniejszej książce kolejne, które jury nagrodziło w zeszłym roku:

1. miejsce – Marcin Woźniak, *Piekło albo niebo*,
2. miejsce – Joanna Sodzawiczny, *Keby niy ta ładowarka*,
3. miejsce – Maciej Derda, *Bogucko tragedyjo, richtig piyrsze ślonske true crime*.

Ponadto jury postanowiło przyznać wyróżnienia:

- Bożena Donnerstag, *Sztudyntka i ōma*,
- Krzysztof Kokot, *Sztrajk. Giesche 1937*,
- Kornel Sadowski, *Silesionauci a niyskończo Rajza*,
- Małgorzata Sikora, *Wilijno nocka*,
- Maria Tyman, *Cufal*,
- Bartłomiej Wanot, *Cosik nowego*,
- Peter Wiescholek, *Ōn czyli o krok od rat-hauzu*.

PIEKŁO ABO NIEBO

Marcin Woźniak

PERSŌNY:

Zefel

Babcia Zefla – Hilda

Anioł Stróż

Lekarz

BINA 1

Na scenie leży Zefel przykryty kocem i ogrodzony taśmami z napisem „Policja”. Migające niebieskie światła imitują koguty pojazdów policji i pogotowia ratunkowego.

ZEFEL:

No to jo zech je już fertich. Wyloz zech ino po cigarety i mie auto dupło. Jeszcze niy take zwykłe, ino sanitarka. Tero tak sie sam leża pod dekōm blank niyżywy. W sumie to niy je take złe, niy byda musioł już wstawać do roboty, niy byda musioł ôddować Pyjtrowi tyj stōwy, co mu wisza. Moje ôjce pomarli, a bajtli i baby niy mōm, coby za mnōm płakali. W sumie to ino żol mi bracika, ôn bydzie musioł mie pochować. Ale za to ostała po mie kawalyrka i auto. Jak sprzedo, to może mi nawet dynkmal postawi, abo choby drzewiany krziż. Ciekawe, kej mnie stōnd zabierōm.

BINA 2

Na scenę wchodzi mężczyzna w białym garniturze, podchodzi do leżącego pod kocem Zefla i jednym ruchem ściąga z niego koc. Zeflik zrywa się i siada na scenie.

ZEFEL:

Jerōna, Panie dochtorze, jednak zech niy kojfnoł?

ANIOŁ STRÓŻ:

Jo niy je dochtor, jo zech je Twōj Anioł Stróż.

ZEFEL:

Ja, mhm. Wy tera sprawdzocie, czy żech sie w gowa za mocno niy piznoł?

ANIOŁ STRÓŻ:

Zefel, Ty niy żyjesz, musimy tero czekać co bydzie z tobōm dalyj.

ZEFEL:

A co mo być? Eli faktycznie niy żyja, to mie stōnd weznōm, oblykōm w ancug, zawiyzōm na smyntorz i wciepnōm do ducy.

ANIOŁ STRÓŻ:

Zefel... niy o to łązi. Muszimy czekać, czy cie stōnd zabieremy do piekła, czy do nieba.

ZEFEL:

Jerōna! To jo mōm wybōr?

ANIOŁ STRÓŻ:

Akurat tyś za dobry niy bōł, ale niy bōł żeś tyż taki fest zły. Muszimy tero porachować grzychy, dobre uczynki i zoboczmy.

ZEFEL:

Ty żeś je Anioł, ja?

ANIOŁ STRÓŻ:

Ja.

ZEFEL:

Mōj?

ANIOŁ STRÓŻ:

Ja.

ZEFEL:

To jak żeś mie, paciuloku, pilnowoł, żech pod auto wlecioł?

ANIOŁ STRÓŻ:

Tyś je taki blyjdok! Jo sie chcioł zakurzić, ślecioł mi fojercojg, schylōm sie, zaroz wstowōm, a Ciebie te auto dup... Zresztōm jakbych jo cie niy pilnowoł – tak jak godosz, to już by cie sam dwajścia lot niy bōło.

ZEFEL:

Anioły kurzōm?

ANIOŁ STRÓŻ:

A co? Ty sie bydziesz kopciōł, a jo sie byda wyndziōł? Zawsze jak Ty kurzisz, jo tyż sie machna cigareta.

ZEFEL:

Niy wierza... Dobra, godej mi, co zy mnōm bydzie.

ANIOŁ STRÓŻ:

Czekomy na decyzjo. Niebo abo piekło. Ale wiysz co, jak już czekomy, to dôm Ci szansa. Wybier sie kogo z Twojyj famili, co już niy żyje, jo cie po-
lõncza i bydziesz sie mōg pogodać, jak je po tamtyj stronie.

ZEFEL:

(myśli) Oma Hilda, ôna bõła tako pobožno, tako robotno, ôna bydzie w niebie.
Dowej, chca pogodać z omōm Hildōm.

ANIOŁ STRÓŻ:

Jak tak chcesz, to tak bydzie.

BINA 3

Anioł stróż wyciąga z kieszeni przedmiot przypominający pilot do telewizora, kieruje go w górę, nad scenę zjeżdża duży biały ekran, na którym pokazuje się oma Hilda w fartuchu i czepku, obierająca ziemniaki.

ZEFEL:

Co to za szatańsko technika?

ANIOŁ STRÓŻ:

Najnowszo „ôziym gie”, ludność bydzie to mieć za dwajscia lot.

ZEFEL:

(zadziera głowę, patrzy na ekran) Oma, to Wy?

OMA HILDA:

(uśmiecha się) Zefliczku mōj kochany, a fto? Pewno, że jo.

ZEFEL:

Oma, wyście cołke życie robili i tam na wyrchu tyż robicie?

OMA HILDA:

No ja, sam musza ciyngiyim robić, dziyń w dziyń, świõntek, piõntek.

ZEFEL:

Jak to, to w niebie trza dalej zadupiać? Jo już myśłoł, że mōm to z gowy.

OMA HILDA:

Zefel, jo niy je w niebie.

ZEFEL:

Jerona! Ino kaj?

OMA HILDA:

Jo je w piekle.

ZEFEL:

Oma! Jak to je możliwe?? Przeca wyście dziynnie byli w kościele, rzykaliście nawet po nocy.

OMA HILDA:

Zefel, no ja, ale jo tak niy do końca miała czyste sumiynie.

ZEFEL:

Godejcie, godejcie.

OMA HILDA:

Zefel, pamiyntosz kaj jo robiyła?

ZEFEL:

No ja, we szkole... na kuchni, pra?

OMA HILDA:

Ja, Zefel. I pamiyntosz, jak żeś po szkole do mie przyłaził na te dobre zupy?

ZEFEL:

Oma warzyła nojlepsze zupy.

OMA HILDA:

Ja, Zefel, ale jo ta zupa kradła ze szkoły... mlynso i kawa tyż żech habiyła.

ZEFEL:

No, ale chyba bez ta zupa niy poszła oma do piekła?

OMA HILDA:

Czekej, dej mi pedzieć. Pamiyntosz staro Szolino z piyrwszygo sztoku u nos?

ZEFEL:

Jaaaa, ôna na mie rycala za to, żech po gelyndrze jeździł na rzici.

OMA HILDA:

To ôna sam je zy mnôm. Jak my ze Szolinôm wrocali ze mszy, to my ôbrobia-li dupa wszystkim, nawet farorzowi. Dziyń w dziyń, bez sztyrdziści lot.

ZEFEL:

Oma, ale to każdy tak mo, że kogoś ôbgodo.

OMA HILDA:

Suchej dalyj. Jak nasza Żabka miała te trzi mode, pamiyntosz?

ZEFEL:

Ja, oma.

OMA HILDA:

Ich zodyn niy chcioł. I jo je poszła potopić. A wszystkim żech pedziała, że je chop ze Świyntochłowic zabroł.

ZEFEL:

Co jo sie jeszcze dowiym?

OMA HILDA:

Tero bydzie nojgorsze. Ujek Helmut, brat twojigo ôjca, to ôn niy je syn od oupy.

ZEFEL:

Jo chyba śnia. Ani sie niy pytōm, czyj je ujek.

OMA HILDA:

Synek, jo sama niy mōm pewnoŝci, czyj ôn je.

ZEFEL:

(robi wielkie oczy) Oma, to wyŝcie sie z tego niy wypowiedali?

OMA HILDA:

Jakoŝ ŝech zapomniāła.

ZEFEL:

Oma, ale jo myŝlō, ŝe we tym piekle to sie ludzi w terze warzy, je gorko i sły-
chać ino ŝlimtaniy, a zgrzitaniy zymbōw.

OMA HILDA:

Zefliczku, koŝdy jedyn, co sam trefi, musi robić ôd rana do nocy, to samo, co robiōł, jak jeszcze ŝōł. Niy ma urlopōw, niy ma ŝodnego wolnygo dnia, niy ma tyŝ ŝodnyj rozrywki. Piwo je ino bezalkoholowe, a gorzoła je ciepłō i mo dziesiynć procynt. Jak my sōm chore i mōmy rewiyr, to zaroz przy-
łazi dioboł orzecznik i sprowadzo, czy niy ciulōmy. Jo sam musza dziŝ sama oszkrobać trzista kilo kartofli. Niy gnijwej sie na mie. Musza juŝ koŝczyć. Trzim sie, Zefel i patrz tam jako, co byŝ sam niy trefiōł.

ZEFEL:

Pyrsk, Oma! *(macha do ekranu)*
Ekran gaŝnie i chowa się.

BINA 4

Zefel i Anioł Strōŝ stojā naprzeciw siebie, palā papierosy. Obok nich leŝy zmięty koc.

ANIOŁ STRŌŝ:

I co? Pogodoł ŝeŝ sie z omōm?

ZEFEL:

Ja, ino nie przypuszczōbych, że oma trefi do piekła. Ale tyż niy umia sie wyobrazić, jak tam bez piwa radzi sie oupa Erich. Dyć ōn piwsko dojōł jak ōpyn-tany. Dziyń w dziyń.

ANIOŁ STRÓŻ:

Erich... chop od Twojyj omy Hildy?

ZEFEL:

Ja, ōn.

ANIOŁ STRÓŻ:

Nale ōn niy je w piekle.

ZEFEL:

A kaj?

ANIOŁ STRÓŻ:

No, ōn je w niebie.

ZEFEL:

Po jakymu?

ANIOŁ STRÓŻ:

Twōj oupa bōł ōżyrok, ale na grubie przerobiōł do Abrahama.

ZEFEL:

No ja, ale za to do nieba niy trefiōł.

ANIOŁ STRÓŻ:

Oupa śpiywōł we chōrze kościelnym i groł w gōrniczyj ōrkestrze na chwała božo na kożdym ōdpuście i sumie z tōm ōrkestrom, marszym żałobnym ōd-prowadziōłw ōstatniyj drodze ze trzi setki chopa na smyntorz. We Boże Ciało zawsze ze sztandarym w mundurze przy oltarzu stoł i co rok na procesyjo do Piykor z chopami szoł.

ZEFEL:

(rozkłada ręce) To doprowdy stykło?

ANIOŁ STRÓŻ:

Erich bōł dobry chop. Żodnymu niy odmawioł pomocy, pomōg poterować dach, podzieloł sie ze sōmsiadami wursztym ze świnioniobicio, a wnukōm zawsze dowoł maszkiyty i jake kotloki. Przy omie Hildzie to ōn bōł prawie mynczynnik. Beztōż tero je we niebie. Tam juź niy musi tyła robić, ino korzy-stać z dostatnigo życio wiecznygo.

ZEFEL:

To jednak tam tyż trza robić?

ANIOŁ STRÓŻ:

We niebie trza robić, ale już normalnie ôziym godzin. Mosz urlopy, mozesz sie wyjechać na wywczas. Ludzie chorujōm, ale som lykarstwa na wszelake choroby. Twōj oupa ze twoim fatrym sōm tero na przykład we Egipcie na all inclusive.

ZEFEL:

Suchej no, to we tym niebie je prawie choby sam na ziymi.

ANIOŁ STRÓŻ:

Ja, ino je toniyj, niy ma podatkwōw i jak swoje przerobisz, to tyż idziesz na pynzyjo.

ZEFEL:

To co zy mnōm tera bydzie?

ANIOŁ STRÓŻ:

(wyciąga telefon, słychać sygnał przychodzącego SMSa) Mōm informacjo ôd świyntego Pyjtra. Zefel, lygej nazod pod deka, napisali co jeszcze niy je twōj czas.

ZEFEL:

Niy rozumia, to jo niy umar?

ANIOŁ STRÓŻ:

Umar żeś, na chwila. Medyki już robiōm, co mogōm, cobyś wrōciōł do žycio.

ZEFEL:

Ale jak robiōm, jak jo je sam z tobōm?

ANIOŁ STRÓŻ:

Wy sam myślicie ale jednowymiarowo. Tyś sam je duszōm, a ciałym żeś je kaj indzij, wlażuj pod deka, to som zoboczysz.

Zefel wchodzi pod koc, Anioł odchodzi za kulisy. Gasną światła.

BINA 5

Na scenie łōżko szpitalne, na łōżku leży Zefel, ma głowę obwiązaną bandażami i nogę na wyciągu ortopedycznym. Przy łōżku stoi lekarz w białym fartuchu.

ZEFEL:

(otwiera oczy) Pierōna, ale boli!

LEKARZ:

Bydzie boleć, miōł Pan poważno ôperacjo.

ZEFEL:

A kaj poszoł tyn mōj anioł, co mioł mie pilnować, i fto wyście sōm? Archanioł?

LEKARZ:

Spodzywali my sie, że mocno sie Pan w gowa klupnoł, ale że trzeba bydzie konsultacja psychiatryczno zlycać, to my niy wiedzieli.

ZEFEL:

Godej mi zaroz... KAJ – JO – JEST?!

LEKARZ:

W lazarycie na Ochojcu. Prziwieźli wos sam sanitarkōm z wypadku. Złożyli my wom połōmano szłapa i poszyli roztrzaśniynto gowa.

ZEFEL:

To jo żyja?

LEKARZ:

No, ja...

ZEFEL:

Ale dyc jo już bōł dekom przikryty, żodyn mie niy reanimowōł.

LEKARZ:

Coś wom sie uwidziało. Jak ino ta sanitarka wos klupła, ekipa z nij wezwała drugo karytka, co wos ôd razu do nos wiezła. Cołko droga wos reanimowali.

ZEFEL:

A Tyś je fto?

LEKARZ:

Niy widać? Przeca jo je dochtor. Jak mi pedzieli, że sie budzicie, prziszōł zech sie zapytać, jak tam sie czujecie.

ZEFEL:

(Podnosi głowę) Panie Dochtorzeeeee!!! Jo musza zaro stōnd wylyż!!! Kaj sōm moje galoty???

LEKARZ:

Jak wos zbadōmy i poôbserwujmy to wylyzicie. Terozki lygejcie i ôdpoczywejcie.

ZEFEL:

Dochtorze, jo musza... jerōna, jo mōm tela do zrobiynio.

LEKARZ:

Poleku, my muszmy wos sam trocha potrzimać. Taki unfal, jak żeście mieli, to niy je take bele co.

ZEFEL:

Jo chca stōnd wyłyż, musza ôddać Pyjtrowi stōwa, musza z bracykym pogodać, musza wszystkich, co zech im nazdoł, poprzeproszac i musza dać na mszo za oma Hilda, żeby sie w tym piekle tak niy mordowała. TEROZ, ZAROZ, DZISIEEEJ!!! (*Opuszcza głowę*) Pierōna, ale mie boli.

LEKARZ:

(*patrzy na Zefla zza okularów, drapie się po brodzie*) Jaaaa... zaro sie zapisza, żeby wos psychiatra zbadoł.

ZEFEL:

Panie dochtōr... Wierzy Pan, że jak Pan kojfnie, to Pan trefi do nieba abo piekła?

LEKARZ:

Jo sam niy je po to, coby godać z pacjyntami w co jo wierza.

ZEFEL:

Kedyś zech myśłoł, że po śmierci niy ma nic. Teraz wierza, że musza sam sie fest postarać, coby potym bōło lepij.

LEKARZ:

(*odchodzi w stronę kulis, zatrzymuje się, odwraca głowę*) Powiym wom, że te niebo abo piekło jo widza czasym sam na ziymi. Z jednyj strony przonie, radowanie i życzliwe pomocne dusze, a z drugij ból, a cyrpiynie. Ale tam (*pokazuje palcem w górę*) niy ma nic.

ZEFEL:

Niech sie dochtōr zastanowi, coby niy bōło za niyskoro.

LEKARZ:

Jo doprowdy niy rozumia, co wy godocie, ale jak bydziecie tak fulać, to zmiyniemy wom ôddział.

ZEFEL:

Jak sie kejs trefiemy po drugij stronie, to można Dochtōr spokopi wiyncyj. Z Panym Bogiym.

LEKARZ:

Do widzynia, Panie Zefel.

Na scenie gasną światła.

KEBY NIY TA ŁADOWARKA

Joanna Sodzawiczny

PERSŌNY:

Synek

Cera

Muter

Fater

BINA 1

Synek i Cera trefiajōm sie przed laubōm.

CERA:

Michoł? Ty tyż tukej?

SYNEK:

Cześć, siostra, fater napisał żebych przyszoł, to żech je... A ty co sam robisz?

CERA:

Do mie napisała muter, że chce ô czymś pogodać... Ciekawe co sie stało?

SYNEK:

Pewnie psinco, ôjciec na pewno pościōngoł jakēs gierki i mobilniok se zapchoł...

CERA:

Mōm nadzieja, że to nic poważnego... Coś mi niy pasuje, że ôroz my sie trefiyli.

SYNEK:

Panikujesz, jak każdo baba...

CERA:

Obys miol recht, ale mōm złe przeczucia.

SYNEK:

Co to godosz, dyć te nasze ôjce to sōm już stare ludzie, a starziki już gupot niy robiōm, zresztōm co ôni by mogli nawywijać?

CERA:

Stare jak stare, jeszcze sie przekonōmy...

SYNEK:

Jo ci padōm: nic sie niy dzieje... ale jak chcesz to sie mogymy wetnōnć. Jak sie coś podziōło to jo stawiōm ci Aperola, ale jak je w porzōndku, to ty stawiosz browara. Weta?

CERA:

Niych ci bydzie! Weta!

SYNEK:

Ha! Browca zawsze z chynciôm wypija. Klupej!

BINA 2

FATER:

O, Michoł... Monika, ty tyż?

SYNEK:

Chciołeś żebych przyszoł... co tam ci trza, ôjciec?

FATER:

No, bo w tym telefonie... No... musisz to yno ôbejrzyć...

SYNEK:

(do Moniki) A niy godołych? Kludź, fater do izby i pokoż coś tam napochoł... kajś to właziôł?

FATER:

Nikaj niy właziôłech, knefel mi czerwony migoł, toch go nacis i... cały mobilniok mi sie...

SYNEK:

Fater, wiela razy môm ci godać, że mosz naciskać na krzyżyk, a niy na migajōncy knefel?

FATER:

Ciebie to tak leko godać, tego krzyżyka praje niy wydać, a knefel aż po ôczach dowo...

SYNEK:

No, bo beztōż sie rozchodzi, żebyś przycis...

FATER:

No i przycisłech...

SYNEK:

No, ale przeca padōm: mosz niy przyciskać! Pokoż to yno...

FATER:

Synek!... bo jo tak po prowadzie chcioł, żebyś sam przyszoł z inkszego powoda... Bo jo... jo chyba gupot narobiôł...

SYNEK:

Mosz jako inkszo baba na boku?

FATER:

Synek, czyś ty je miechym piźniony? Z jednōm babōm mōm utropa, a se byda drugo broł?

SYNEK:

Żeby cie tak matka słyssała... To coś napochoł?

FATER:

Ech, pojechali my w czwortek na ryby, matka jak zwykle nazbiyrała jakiś bambetli, klamorōw, taszōw, dyrzymałōw i inkszych fizmatyntōw, a jo wziōn wyndki i zanynta. Cōż tyż mōm brać na ryby? Siedza se na stołku nad wodōm, szłapy se tonkōm we stowie, bo hica jak pierōn, matka leży na dece w ciyniu, kije już we wodzie, słonko świyci, ptozki furgajōm, chroboczki buczōm naōbkoło. No, je jak we raju. Matka tu mi brauzy przyniosła, tu kawka zrobiła, padōm ci: żyć – niy umiyrac. A mie było tam aż tak dobrze, że chyba mi sie musiało oko zawrzyć, bo ôroz jak niy zaczęła larma robić... Wrzeszczała choby piźniynto. Tak zech sie wystraszył, zech aż podskoczył i wyndki poprzewraoł, a matka... Downo zech jōm takij niy widzioł. Koždy na nos patrzōł i kiwoł łebōm... Dej pokōj... Tako gańba...

SYNEK:

A, niy przejmuj się... przyńdzie jji.

FATER:

Niy ô to idzie... wiesz jako to gańba przed innymi wyndkorzami? Wyndki zech se sōm poprzewraoł!... Tak mie to znerwowało, że my sie powadzili! A ô co ji sie rozchodziło? A ô to, że niy wziyna ładowarki do telefona... I ôna pado, że to moja wina... Sama pozbiyrała masa roztomaństych bambetli, a mie pado, że to je moja wina, boch ładowarki niy wziōn? Niy mogła sama jōm spakować?

SYNEK:

Wiesz jako jest matka, powajo, powajo i ji przyńdzie...

FATER:

Przyńdzie, przyńdzie, zawsze przełazi... ale to niy ma nojgorsze....

BINA 3

Cera:

Co tam, mamu, wszystko dobrze?

MUTER:

Pōdź, pōdź, cera, pōdź, se siednymy do kuchni.

CERA:
Mamo?! Stało sie coś?

MUTER:
Ciiii, jeszcze cie ôjciec usłyszysz...

CERA:
Mamo, niy strosz mie, godej wartko co sie stało? Choro żeś je?

MUTER:
A kaj... ale gupot narobiyałach...

CERA:
Naciõgli cie na wnuczka?

MUTER:
A przestoń! Można żech je staro i gupio, ale niy aż tak!

CERA:
No, to godej...

MUTER:
No to... A można nojprzõd kawy ci zrobić?

CERA:
Niy! Niy tera! Naprzõd powiydz ô co sie rozchodzi... abo wiysz co, zrõb, już je piyńć, za chwila bydzie za niyskoro...

MUTER:
Widzisz, jo tyż se zrobia, ale mała, boch je cało nerwowo... MICHOL!!!!
chcesz kawy?

SYNEK:
NIY, PIŁECH!

CERA:
A ôjca sie niy pytosz?

MUTER:
Niy godõm z nim, niych se som zrobi... weż sie go spytej, czy chce?

CERA:
FATER! A CIEBIE KAFYJU ZROBIĆ?

FATER:
A JE BRONOTNY CUKER?
Muter kiwie gowõm, że niy.

CERA:
NIY!!!

FATER:
TO NIY CHCA!

MUTER:

Mōm brōnotny cuker, ale mu niy dom! Jezusiczku, co to je za chop, wrzōd, a niy chop.

CERA:

A, to żeście sie powadzili...

MUTER:

A kaj, jo sie z nim wadzić niy byda, szkoda czasu, nerwōw i wszyskiego! No i tu je pies pogrzebany...

CERA:

Muter, godej od poczōntku, co sie stało?

MUTER:

Ōd poczōntku padosz? To musza zaczōnić ōd tego, że pojechali my na dugi weekend na ryby...

CERA:

No, wiym, mieliście przyjechać dziepiyro jutro abo pojutrze... Co sie stało żeście sōm tak drap?

MUTER:

No, to suchej: pojechali my już we czwartek, jo jak zawsze pakuja: łachy, jedzynie, termosy, sznitki, ciepłe fuzekle, czyste batki, switry i co yno. A fater? Wyndka, angła, łopatka, waserflyje, to yno go interesi. No i siedzimy nad wodōm: fater na stołeczku, hica jak pierōn, szłapy we wodzie, kije moczy, piwsko ślepie, słońce grzeje, ptoki furgajōm, chrobajstwo buczy naōbkoło, słowym: horror. Co jo tam moga na tych rybach robić? Leża na dece. Ksiōnżka czytōm, abo jaki film na telefonie obejrza, abo audiobooka posuchōm, bo co tyż mōm robić w tyj dziczy? Mōm se dychnōnić, a tu co chwila yno: Rynia, a przyniesiesz brauza? Rynia, a kawki by my sie napili? No, napijmy sie jak JO zrobia... Rynia, a jakij zisty tam niy mosz? I tak lang naōbkoło...

CERA:

Muter, to na co ty z nim jeździsz na te ryby?

MUTER:

Bo kedyś było inakszyj, kedyś kije porozkłodoł i szli my do namiota na... no!... a potym tak jakoś sie utarło, no i jeżdza... Co, mōm mu tera padać, że mie sie tam mierznie? Mierznie! Mało pedziane. Jo niy ciyrpia jeździć z nim na ryby!

CERA:

No, ale co było dalij?

MUTER:

Leża na tyj dece, ale telefon mi piko, że słabo bateria, no to ZAŚ stowōm, ida do przyczepy poszukać. Niy ma! W aucie niy ma, w taszach tyż niy ma, pytōm sie fatra: kaj ładowarka? A tyn niy odpowiada, pytōm sie drugi roz, a tyn epny wyndkorz usnoł! Już mie ta ładowarka znerwowała, ale tyn ôjciec na stołku bōł taki pocieszny i chciałach go wystraszyć, podłaza bliżyj i wołōm mu do ucha: Lechu, kaj ładowarka?!... a tyn jak niy chupnoł, jak podskoczył, a jak sie ôbalił prosto na te wyndki. Wszystko poprzewraoł, żyłki pometłoł, wszyscy sie naōbkoło na nos patrzōm, a ôjciec jak na mie z pyskiym niy wyjedzie. Powciepywoł wszystko do przyczepy i my przyjechali... I niy godōmy...

CERA:

Niy przejmuj sie, mamu, przyńdzie mu...

MUTER:

Mu? Ônymu niy mo co przełazić, to jo je na niego wkurzono... ale... Niy to je nojgorsze...

BINA 4

SYNEK:

No, suchōm cie, coś narobiōł? Kupiłeś se nowo wyndka?

FATER:

Gorzij.

SYNEK:

Co? Wymieniōł żeś cołki sprzynt na nowszy?

FATER:

Gorzij.

SYNEK:

Niy godej żeś se kupiōł łōdka?

FATER:

Co ci byda godoł... jeszcze gorzij... Wykupiōlech wyprawa na ryby do Norwegie...

SYNEK:

No, ej, ôjciec, no to elegancko... Matka sie ucieszy na ta Norwegia, fiordy, zorza...

FATER:

Źle mie rozumisz, synek, wykupiōlech yno jedne miejsce... yno dlo mie. Samego...

SYNEK:

A matka wiy?

FATER:

Jeszcze niy...

SYNEK:

OJĆ!

FATER:

No właśnie...

SYNEK:

Kedy jedziesz?

FATER:

Piyrszego

SYNEK:

A kedy powiysz matce?

FATER:

A musza?

SYNEK:

No, ej... jak?

FATER:

A ty byś ji niy pedzioł? Piyrszego, jak pojada?

SYNEK:

Chcesz, żeby to mie zabiła? Dyc sie wścieknie.

FATER:

Ja, ale na ciebie...

SYNEK:

A wiela cie niy bydzie?

FATER:

Praje dwa tydzie.

SYNEK:

To może jiy wcale niy powiymy? Bydzie sie martwiła, ale jak przyjedziesz to sie ucieszy...

FATER:

No, a potym zabije nos obu... To co zrobimy?

SYNEK:

My? Co TY ZROBISZ, chciołeś pedzieć. Twój cyrk, twoje afy. Mie w to niy miyszej...

BINA 5

CERA:

Mamo, niy strosz mie, co sie stało? Z tych nerwów żeś sie pochorowała?

MATKA:

Z tych nerwów, to wziynach nalywka wiśniowo i niy wiyom jak to sie stało, ale wypiałach jōm cało, a potym...

CERA:

...ôbrzigałaś ôjca?

MATKA:

Keby... potym sie ôblykłach i wylazłach i poszłach do...

CERA:

Mamo, mosz kochanka?!

MUTER:

Dziołcha, wiyncyj powogi, doś że mie jedyn chop nerwuje, drugigo do kompletu mi niy potrza...

CERA:

No, to do kogo poszłaś?

MUTER:

Niy do kogo, a kaj... do biura podrōzy i wykupiłach wczasy...

CERA:

Uff, wczasy! Ale mie wystraszyłaś, mogło być gorzizj!

MUTER:

Je gorzizj! Wykupiłach rejs na Karaiby! Na dwa tydzie.

CERA:

CO? Karaiby?! Super, mammo, fater sie uciesz!

MUTER:

No, niy wiyom...

CERA:

No, jak fater uwielbio take klimaty: morze, plaża i ryby cołkiym inksze, niż te u nos. Padōm ci: bydzie zachwycony, niy mosz sie co przejmować...

MUTER:

W tym synk, że wykupiłach yno jedne miejsce... dlo mie... A fater jeszcz nic ô tym niy wiy...

CERA:

O, kurcze...

MUTER:

No właśnie.

CERA:

Ale możesz mu chyba dokupić plac...

MUTER:

No, chyba niy, bo były dwa ôstatnie, a jo potym zaro zadzwōniła do Aniele i ôna wziyna te ôstatnie...

CERA:

ANIELA? Ty z niôm niy umisz strzimać weekyndu, a co dopiero dwóch tydni...

MUTER:

Wysz co? Wola te dwa tydzie z Anielôm, niż choby godzina na rybach z twoim fatrym...

CERA:

Hmmm... Ale Karaiby? Skōnd ci sie to wziyno?

MUTER:

Bo dalij sie niy dało...

BINA 6

SYNEK:

Mōm! Kup jij coś!

FATER:

To je myśl... yno co? Nowy mikser!

SYNEK:

Toś pojechał, ôna mikser, a ty na fiordy... już widza jejij mina... jak już, to byś musioł kupić chyba termomiksa...

FATER:

To już mo, kafyjmaszyna tyż... Telewizor?

SYNEK:

Niy! To by musiało być coś do nij, yno do nij... jake zauśniczki abo pieścionek?

FATER:

Mo tego fol, a w tym niy łązi... niy wiym, czy bydzie z tego rada...

SYNEK:

A co ôna by chciała? Co by sie ji podobało?

FATER:

Durś yno godo, że niy mo czasu ksiōnżek czytać...

SYNEK:

Te, i to je myśl...

FATER:

Kupimy jij ksiōnżki i zygor?

SYNEK:

Niy, kup jij jake wakacje, abo jaki weekend we SPA, co by miała czas poleżeć i poczytać... dej yno twojigo laptopa, zaro co poszukōmy. Weekend we SPA... i co sam mōmy? O ciup, patrz wiela tu tego je... ôd Zakopanego do Bałtyku... co wybiyrosz?

FATER:

Bałtyk fajny, ale daleko, a zaś do Zakopanego jechać... niy doś, że autobana rozkopano, to jeszcze sie na Zakopiance ciś... niy, szukej coś tukej...

SYNEK:

Eee, ôjciec! Ty jedziesz do Norwegie, kup ji chociaż coś w inkszym wojewōdztwie...

FATER:

Dobra, wpisuja R-A-D-O-M-sko... Ty, patrz jaki fajny paket: dwa noclegi we wygodnyj izbie, paket zabiegōw na pysk i ciało, niylimitowany dostymp do pakerhale i do luksusowyj strefy SPA, basyn solankowy, sauna... No, miodzio, niych sie wypoci, to i te muki jij przyńdōm...

SYNEK:

Lakonium ze źrōdłym solanki, misa lodowo, natryski wrażeń i jaccuzzi... te, co to je te lakonium?

FATER:

Niy wiy, ale niych mo... Stykać mie... Kupuj!

SYNEK:

Kaj mosz aplikacjo do płacenio... Tukej, wbij PIN... To co, kupujemy?

FATER:

Czekej yno. Pokoż to yno. Jaki je stan konta? Czekej, czekej, coś mi niy pasuje...

BINA 7

MUTER:

Ty niy mosz pojyncio jak jo by chciała pobyć sama w doma. Jo by chciała stanōńc z łōzka kedy chca, napić sie kafyju, legnōńc na szezlongu i poczytać abo poōglōndać seriale na Netflixie, te nojgorsze romansidła abo horrory.

CERA:

Ale przeca ôjciec ci co rano kawa robi...

MUTER:

Jo ô tym godom... Robi. Dziyinnie. O ôsmyj! Punkt. Ani minuty pōznij. Bez cukru i kapka mlyka. I to je dobre. Jo to lubia. I żeby niy było: jo to docyniôm, ale czy jo by roz w roku niy mogła stanōńc o dziewiōntyj i napić się bawarki? Czy jo moga se na wieczōr puścić Bridgertonōw i ôbejrzeć wszyske odcinki od piyrszego do ôstatnigo bez suchanio: "Czorno krōlowo Anglie, no miodziu! Tyn, co to wymyślōł, to je chyba gupi jak pōlfōntek masła..."

CERA:

Czyli chciałabyś być w doma sama na weekend?

MUTER:

No, ja!

CERA:

To co za problem...? Wykup mu jako chopsko wyprawa na ryby i pošlij go samego.

MUTER:

A to take organizujōm? Idzie take kupić?

CERA:

Niy wiem, dej yno laptopa, zaro sprawdzimy: M-Ę-S-K-I-E W-Y-P-R-A-W-Y, o, i mosz! W Polsce: Mazury, morze, rzeki, co chcesz?

MUTER:

W Polsce... A niy ma czego kańs dalij? Bo wiysz, jo na KARAIBY płyna... jo by mu wziyna cokolwiek, bele trocha dalij, bo wiysz, jo Karaiby, a ôn Dziko Przygoda nad Przemszōm we Sosnowcu...

CERA:

Tego to sam akurat niy proponujōm, ale wiysz... brzmi zocnie. Szukōm. MOM! Wybierej: Jezioro Bysjon – polowanie na metrowe cidry i szczuki, Norwegio – wyndkarstwo morske na wybrzeżu Helgeland, o, abo Olandia – łososie, trocie i szczuki na mucha i klasyczny spinning abo...

MUTER:

Niy gupiej, bier piyrsze z raji. Mie to je ganc egal, a ôn zouwizou bydzie rod. Weź to, zapłōć z konta, a umiałabyś to potym wydrukować? Wraża kartka do koperty i dōm mu to jak mi rano kafyju robi, uchołkōm go tym, to można go szlag jasny niy trefi, jak sie ô tym rejsie dowiy. Tukej mosz PIN żeby przeloć...

CERA:

Mamo... tyś godała, że kaj to jedziesz?

MUTER:

No, na Karaiby, palmy, Ocean, Słońce i jo. To je rejs szipym, a tam co wieczōr inkszy fajer: Bioły Bal, Kwiecisty Bal, a na kōńcu Bal Kapitański. My se z Anielōm wykupiły tyn pakiet ekstra...

CERA:

Ja, ja, yno, mamō, sam mosz zrobiony przelew na Wyprawa Do Norwegie...

MUTER:

CO?!!! Pokoż to yno!

W tym momyncie ze izby i ze kuchni słychać:

LECHU!!!

RYNIA!!!

BOGUCKO TRAGEDYJO, RICHTIG PIYRSZE ŚLŌNSKE TRUE CRIME

Maciej Derda

PERSŌNY:

Oma – lot kole 87

Jōzef – ślubny Zofji, dziywior Paula, bracik Kosztanty

Kosztanta – siostra Jōzefa, Francka i Jona, ślubno Paula,
mamulka Omy

Dziynnikorz śledczy – wnuk Omy (głosowo kopijo Bogusława
Wołoszańskiego abo Michała Fajbusiewicza; oblyczony w przidugo
jakla wojskowo model M-65, z demobilu, z podwiniyntymi
rynkowami; o licu spōminajonczym jednak barzij Telly’ego
Savalasa)

BINA 1

5 czerwnia 2024, zalon pomiyszkano w bloku z lot 60.

Wchodzi Oma i zajmuje plac na zeslu, odwroco sie do wnukōw.

OMA:

Siodać i niy godać. Suchać, bo dwa razy niy byda godać, bo staro je żech i niy wiadomo wiela pożyja. Jak sie teraz niy nagro, to przepadło. Wiym tyła, wiela wiym i tyła Wōm powiyim, a co niy wiym, to dopowiyim tak, jak mi sie wydowo, iże mogło być, abo wiedziałach i zapomniałach. A co? Staro je żech, to moga. Jedne pewne, iże cajtōngi, co je Wom pokazuja, to genau prawda... Bydzie to ozprowka o wyzdradzie, zbrodni i korze, w naszym familijnyj zouzie. Rozsiednijcie sie wygodliwie, picie mocie, przekōnski mocie? Siku zrobione? Coby mi stowanie niy było, bo straca wōntek... No, zaczynōmy. Opowiyim Wom dzisiej nosz familijny horror, przed Wami spomniynie ô Boguckich Trucicielkach! Było to w czerwniu 1935 po śmierci mojjj nojstarszyj siostry Teryni, a zaczyno sie od byzuchu bracika mamulki, Jōzefa...

BINA 2

Czyrwiń 1935, kuchnia we familoku przy. ul. Krakusa 4

JŌZEF:

Dobry, Kosztanta je żeś w doma?

KOSZTANTA:

Je żech. Downo Cie niy było, co chcesz?

JŌZEF:

Sama je żeś?

KOSZTANTA:

Sama. Stało sie coś? Coś taki dziwacki?

JŌZEF:

A karlusy i Paulek kaj?

KOSZTANTA:

No jak kaj? W robocie, na grubie, a kaj majōm być?

JŌZEF:

To dobrze sie skłodo. Sprawa mōm, chciołech...

KOSZTANTA:

A niy wpod żeś na to, coby nojprzōd spytać? Widza, iże niy rozumiesz o czym godōm. Niy spytosz jak sie czuja?

JŌZEF:

Po co mōm pytać, przeca widza, iże nic Ci niy ma.

KOSZTANTA:

Nic mi niy ma? Ledwo miesiōnc tymu poschroniali my Terynie, a jo je żech w trzecim miesiōncu ciōnze... Pomyśl czasym o inkszych, niy ino o sie...

JŌZEF:

Dobre, dobre, już dobre. Sprawa mōm. Jak sie czujesz?

KOSZTANTA:

Szkoda godać... godej z czym przilażisz.

JŌZEF:

Sprawa mōm, chciołech...

KOSZTANTA:

Sprawa może poczkać. Napijiesz sie czegoś, kōncek kołocza zjysz? Powiydz lepij, jak Edytka sie chowo?

JŌZEF:

Niy, dziynkuja, niy chca ciasta. Mało – dobrze, pōł roku już mo... Trocha z tym przichodza... a gorzoła mosz może? Napiōł bych sie.

KOSZTANTA:

A ty co, we fatra sie umiyniosz? Gorzoły to ty sie kaj indzij napij, niy u mie. Ino sie niy opij i niy rōb breweryje w doma, Zosi i małyj to niypotrzebne. Styknie, iże już jedyn awanturnik z Wami miyszkoł. Tfu, o umartych abo dobrze abo baj. A czymu niy je żeś w robocie? Jeszcze połednio niy ma, a ty byzuch robisz?

JŌZEF:

Niy wyjżdzej mi sam z fatrym, to co inkszego. Swobodne mōm, musza coś ważnego sprawić. Kłopot mōm... Potrzebowoł bych jajec, a Ty przeca mosz kura. Życzniez z 10?

KOSZTANTA:

Dōm Ci.

BINA 3

Czyrwiyń 2024, Zawodzie, ul. Walerjana

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Witōm wszyjskich suchoczōw podcastu i oglondoczōw wersyje filmowij z Youtube. Dziynkuja wszyjskim wspierajōncym z Patronite, dziynki kerym moga ryalizować tyn podcast. We zwiōnzku z ogromnōm wielościōm materyje z tamtyjszyj presy byda wyjōntkowo cytowoł ino fragmynta. Sponsory moje od proga 25 dostanōm newsletter po odcinku z cajtōngami w wersyji cyfrowij.

Śląski Kurier Poranny: Żona pod zarzutym otrucia ślubnego arsenikiem. Do prokuratorji Gyrichtu Rejonowego w Katowicach wystosował Jōzef Sikora zamieszkały w Zawodziu, ulica Walerjana doniesienie, iże jego szwigr Franciszka Wlokowo zatrzała przed niedawnym czasym swego ślubnego 58-letowego Piotra Wloka.¹

Gazeta Siemianowicka: Żona otrzała ślubnego arsenikiem [...] Niyzawodnie po dostaniu tego doniesienia wdrożono ynergicznie podszukōnek. Poczōntkowo trufano było, iże Jōzef Sikora doniesienie narychtowoł pod wpływym pomsty. W ostatnim czasie żył on ze szwigrōm w niyzgodzie [...] we zwiōnzku z wykryciem tyj zbrodnie prokurator przy gyrichcie rejonowym w Katowicach zarzondziōł przekludzynie ekshumacyje zwłok śp. Włoki.[...]²

¹ Śląski Kurier Poranny, rok 1 nr 122, Chorzów, 5.06.1935

² Gazeta Siemianowicka, rok X, nr 46, Siemianowice Śląskie, 6.06.1935

BINA 4

5 czerwnia 2024, salon pomiyszkano w bloku z lot 60.

OMA:

Jak widzicie sprawa była całkym powożno. Takich rzeczy u nos w doma niy było. Gańba na cołke Bogucice, musieli mamulka i fatra palcami wytykać, a wiycie, jake to ważne tedy było, co ludzie godajōm... Co sie dzieje w doma, niy godej żodnymu... Bōł to zaczōntek cołkij breweryje, a co sie trefiyło niyskorzij to ōoo... Po donosie sytuacyjo sie skomplikowała, grōb rozkopali, przebadali i wyszło na to, iże Jōzek godoł prowda...

BINA 5

Czyrwiń 1935, kuchnia we familoku przy ul. Krakusa 4

JŌZEF:

Dobry, Kosztanta je żeś w doma? Mōm sprawa.

KOSZTANTA:

Jōzef, to Ty? Dopiyro teraz przychodzisz? Sprawa mo, no, niy strzimia. Coś Ty zaś narobiōł? Dalszy donos na policyjo abo co gorszego?

JŌZEF:

Co sie czepiosz, wiysz jak było!

KOSZTANTA:

Niy wiym! Tyla wiym, co mi pedziołś, iże podyzdrzywosz matka Zosi, iże pomogła starymu słyż z tego świata. A Ty myślisz, iże cajtōngōw to my niy czytomy!? Synsacyjo na cołke Bogucice i niy ino. Godajōm, iże cołki Ślōnsk już wiy, co sie tam na Waleriana dzioło. Gańba na cołkigo. Palcami nos wytykajōm, dobrze, iże mamulka tego niy dożyła, bo pynkło by jej serce...

JŌZEF:

Prowda Ci pedziolech, fater Zosi to stary ożyrok bōł i wszyjskich w doma proł.

KOSZTANTA:

To niy mogli żeście go ze ślubnym ōd Emilli do pionu ustawić?! O nim we cajtōngu niy piszōm! Cołko Krakusa aże huczy ōd klach, iże mody Jōzek to abo nakłamoł, coby sie szwigrzy pozbyć i przejōńć jejij pomiyszkano, abo mordyrz, co na biydno kobyta przewina chce przeciepnōńć!

JŌZEF:

Oszydy! Baby dycki klachały. Co za idyje? Bez synsu, z tym pomiyszkaniym przeca musioł bych sie jeszcze Emilie z chopym i Trudy pozbyć! A jak bych mioł go zabić, to bych to inakszyj rozwiõnzõł, a niy jakoś trutka na mozgole! Jo bych to zrobiõł jak chop, a niy jak jakoś... baba.

KOSZTANTA:

Niy krzicz. Dej mi wody, słabo mi sie zrobiõło...

JŌZEF:

Legnij sie lepij. Kosztanta, Ty sie niy przejmuj, co ludzie godajõm. Oni jeszcze bydõm godać. Niy wiym co z tego bydzie. Matka Zosi na zicher coś wymyśli, coby sie zymścić, to õkropiczno kobyta. Pamiyntej, co by sie niy dzieło, jo nic niy zrobiõłech. Legnij sie, õdpocznij. Ida do dõm. Kosztanta... a choby coś sie stało to moga na ciebie rachować?

KOSZTANTA:

Co by sie miało stoć?

JŌZEF:

Niy wiym, Wlokowo na zicher coś wymyśli... Choby co to... zajmiesz sie Edytkõm? Ekshumacyjo mo być, woloł bych jeji tam niy brać... Mosz jakieś jajca? Źycznoł bych jeszcze z 10.

BINA 6

*Czyrwiyń 2024, smyntorz w *Bogucicach. Dziywnikõrz przechadzo sie od grobu Kosztanty (na staryj czynści) do grobu Jõzefa (na nowyj czynści)*

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY

Śląski Kurier Poranny: Ekshumacyjo zwłok na smyntorzu w Bogucicach [...] stwirdzono było, iże Wlokowo, kero czynsto szykanowoł Piotr Włoka, zamierzala pozbyć sie swego tyrana. W tych cylach namõwiła swego ziyńcia Jõzefa Sikore, by dolifrowoł jeji arseniku. Potym wtajemniczyła w swe zamiary swoja cera Elzbieta, jak tyż żony Sikory Zofje, z kerymi pospõł domieszycwała arsenik do jedzynio. Po upływie miesiõnca Włoka naroz umrził. [...] przekludzono było w dniu wczorejszym ekshumacyje zwłok śp. Piotra Włoka. Już kole godziny 10. sebrały sie przed smyntorzym tulmy publiczności, co chciały być świadkami odkopania prochõw śp. Włoki. [...] Wynik sekcycje trzymany je w tajmstwie. [...] Sensacyjne poświadczynia cery wkłudzily gyricht na ślad drugij zbrodnie. [...] w czasie przekludzynio ekshumacyje wyszła na jaw

drugo zbrodnia sprawiono bez Wlokowo, jak tyż jeji cery. [...] krōtki czas po śmierci fatra umrzył tyż tajymnōm śmierciōm szczyry kamrat jeji fatra Jon Śliwa, co z nim fater czynsto popijał [...] ³

BINA 7

5 czerwnia 2024, zalon pomiyszkano w bloku z lot 60.

OMA:

...no a pod koniec piyrszego powstonio przybiegli somsiady i pedzieli, iże Grenshutz idzie po niego i uciyk bez okno w samych spodniokach. Uciyk i wrōciōł dopiyo pod koniec wojny w 1945... a niy, poczkejcie. Jōzefy mi sie pomyliły... bo jo Wom sam o jejich fatrze, mojim starziku, tyż Jōzefie Sikorze... Nazod do właściwego Jōzefa – syna.

BINA 8

Czyrwyń 1935, kuchnia we familoku przy ul. Krakusa 4

JŌZEF:

Kosztanta!! Kosztanta! Je żeś sama?

KOSZTANTA:

Co sie tak drzisz? Paula i Jonka przecucisz, po nocce śpiōm.

JŌZEF:

Kosztanta, musisz mi pomōc...

KOSZTANTA:

Co sie zaś stało?

JŌZEF:

Musza coś zrobić, wymyślić, bo nos wszyjskich do kryminału zawrzōm... Ostawia u ciebie Edyta. Niy ma co z niōm zrobić... nic niy godej, prosza, jak sie niy zgodzisz, to mogōm jōm potym do sierocińca weznōńć, a tego niy sniesa, coby moje dziecko cudze chowali... Sam mosz te jajca, co życzołch oddowōm, na razie piytnoście, reszta doniesa niyskorzij.

Odstawio nec z jajcami na stōł i wychodzi. Konstancja biere jajca, idzie do okna i otwiyro jy na oścież.

³ Śląski Kurier Poranny, rok I, nr 129, Chorzów, 13.06.1935

KOSZTANTA (*krzyczy*):

Jo ci te jajca dałach! Za kogo Ty mie mosz? Bier jy nazod!

Ciepie jajcami w pleca Jōzefa.

BINA 9

Czyrwiń 2024, smyntorz w Bogucicach. Staro czynść, wele kaple cmyntarnyj

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Katolik Polski: Ekshumacyjo zwłok ofiary potwornyj zbrodni [...] Piotr Wloka, inwalida hajerski, bōł cinyżarym familije. Powodym tego bōł przede wszystkim jego przywyk do alkoholu. Ożarty Wloka maltretował cołko familijo, wywołujōnc gorszōnce breweryje. Nareście familijo, coby ścislij pedzieć: Franciszka Wlokowo, jeji cera Zofja i ślubny tyj ostatnij, Jōzef Sikora – postanowiyli we wrześniu ub. roku zgładzić Piotra Wloke ze świata. [...] Wlokowo, jak i Sikora i Sikorowo prziznali sie do zbrodni [...] w miesiōnc po śmierci Wloki umrzył jego kamrat i towarzysz libacyji, niejaki Jon Śliwa. Poniywoż Śliwa umrzył po miesiōncu jankuryjskich cырpiyń, w okolicznościach i przy objowach takich, jake towarzyszyły śmierci Wloki, istnieje przypuszczynie, iż uległ on tyż zatruciu arsenikiem [...] Dochodzyna wykożōm eli przypuszczynie te sōm prowdziwe.⁴

BINA 10

5 czyrwnia 2024, zalon pomiyszkano w bloku z lot 60.

OMA:

Ja, ja... to chyba nojgorszy momynt tyj historyje. Do mie. Mamulka narodziyła moja drugo siostra w grudniu, Natalia. Umarto na drugi dziyń... Mamulka bezma tyż. Ujek Jon wrōciōł z gruby do dōm i jōm znod ledwo żywo przitulono do ciałka Natalii. Komplikacyje po porodzie. Stracyła dwie cery w czasie jednego roku... Miały take fajne grobki z pioskowca. Chodziyłach z fatrym na niy. Niyskorzij mama sprzedała tyn plac i już dzisiej jejich niy ma. Leżały w Bogucicach na starym smyntorzu za kaplōm po prawyj stronie.

⁴ Katolik Polski, rok XI, nr 136, 14.06.1935

Czyrwiń 1936, kuchnia we familoku przy ul. Krakusa 4

JŌZEF:

Dobry, Kosztanta, jeżeś w dōma?

KOSZTANTA:

Jezech, downo cie niy było. Pewnie co chcesz?

JŌZEF:

Chciołech spytać jak sie czujesz...

KOSZTANTA:

Żyja... Godej po co prziszōł żeś. Zaś jakeś synsacyje? Już nos wszyjscy wytykajōm palcami i wypytujōm eli coś wiymy, eli może wom pomagali my w mordzie...

JŌZEF:

Dej pokōj. Zaroz proces, wszyjsko sie skończy.

KOSZTANTA:

Abo dopiyro zacznie, jo już niy wiym co to bydzie.

JŌZEF:

Mōm pytanie...

KOSZTANTA:

Wiedziałach! Godej czego chcesz!

JŌZEF:

A moga przikludzić do ciebie Edyta na dni procesu. Niy mōm jeji z kim ostawić, a gyricht to niynojlepszy plac do małyj dziōuszki. Osobliwie jak jeji matka zasiodo na stolicy obskarżonych...

KOSZTANTA:

Możesz. Nawet dzisiej, jak potrzebujesz. Wiysz, iże dycki ci pomoga...

JŌZEF:

Wiym, Kosztanta, dziynkuja Ci barzo.

KOSZTANTA:

Idź już! Paulek i Jonek zaroz wrōcōm z gruby.

JŌZEF:

Ostawiom 5 jajec, ale niy ciep niymi wy mie bo ledwo łostatnio łoblyczynie doczyściōłech.

Kosztanta biere jajca i wyciepuje bez okno.

BINA 12

Czyrwiń 2024, ul. Andrzeja 16–18 pod downym gmachym gyrichtu rejonowego w Katowicach

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Expres Zagłębia: Kej alkoholik spijoł mlyko z arsenikiem. W gyrichcie rejonowym w Katowicach odbydzie sie hned ciekawy termin we sprawie afery trucicielskij w familiji Wlokōw w Katowicach – Zawodziu. Na stolicy obskarżonych zasiednie gdowa Franciszka Wlokowo, jak tyż jejij zamynżne cery Zofja Sikorowo, Emilia Baluchowo i 16-latowo Gertruda Wlokōwna. [...] Obkarżone Franciszka Wlokowo i Zofja Sikorowo w ciōngu podszukōnku do przewiny sie prziznały. [...] Żona zamordowanego podowo na swoje usprawiedliwiynie, iże ślubny bōł nałogowym ożyrokym i jōm katowoł.⁵

Gazeta Robotnicza: Afera Trucielsko. [...] Zarzōndzono ekshumacyjo i sekcyjo zwłok wykozały, iże we wyntrżnościach Włoki je arsenik. [...] Baluchowo i Gertruda Wlokōwna, kero w chwili zbrodnie miała 14 lot, wypierajōm sie przewiny i twierdzōm, iże ło otruciu fatra bez matka przewiedziały sie juz po pogrzebie, a niy donosiyły o tem policyni, bo matka groziyła im zabiciym siekryōm. Termin w tyj sprawie oczekowany je z wielkim zainteresowanym.⁶

BINA 13

5 czyrwnia 2024, zalon pomiyszkano w bloku z lot 60.

OMA:

Zaś telewizor mi niy działo, oglōndołach taki ciekawy film na TVP Kultura i coś mrygło i zgas. Zapomniałach Ci pedzieć, kuknij, prosza, bo już od wtorku niy działo. Co godosz? Niy, nic niy nacisłach, no, może nacisłach, ale niy dojdźrzałach co. Tam sōm take małe knefle. No, zobocz, no... Ooo, widzisz, wiedziałach, iże sprawisz. A co sie stało? Zaś tyn som knefel nacisłach? No, musza sie to kajś zapisać co z tym zrobić. Dziynkuja ci barzo. Choby taki proces, co sie tedy mioł zacōńć, dzisiej to by go w telewizyje transmitowali. Programy publicystyczne i debaty by robiyli. Jōzef stołby sie celebrytōm i na wszyjskich pudelkach by bōł. Ksiōnżka jak nic jakoś gwiazda kryminału, choby Bonda abo Mrōz, by napisali. A może i film by powstał, ale taki w opo-

⁵ Expres Zagłębia, rok XI nr 174, Sosnowiec, 26.06.1936

⁶ Gazeta Robotnicza, rok 41, nr 180, 27.06.1936

zycyje do popularnego ksiõnżkowego kryminału, mogłaby go Szumowsko zrobić. O – tako to historyjo. Ale to było downo i na Ślõnsku, toż niy ma tymatu.

BINA 14

Paździyrnik 1936, kuchnia we familoku przy ul. Krakusa 4

JÓZEF:

Dobry, Kosztanta! Je żeś w doma?

KOSZTANTA:

Je żech, jak sprawa? Coś wiadomo?

JÓZEF:

Wiysz, mõm pytanie... Eli moga wrõcić? Do dõm?

KOSZTANTA:

Kaj ty chcesz wrocać? Jakigo doma?

JÓZEF:

Tukej, na Krakusa. Wiysz, chyba bydzie lepij w tyj sytuacji, jak sie wykludza ôd Zosi i wrõca tukej, z dzieckym. Przigarniesz nos?

KOSZTANTA (*po chwile cisze*):

...Ja, wyszykujaj wõm izba.

JÓZEF:

A co na to Paulek i Jonek?

KOSZTANTA:

Niyymi sie niy trop, załatwia to.

BINA 15

Czyrwiyn 2024, dziynnikorz przechadzo sie od ul. Andrzeja 16–18 (gmach gyrichtu) do ul. Mikołowskij 10a (downe katowske wiyzniynie miastowe)

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Kurier Wieczorny: Trucicielki z Bogucic stonõm przed gyrichtym. We sztwortek, dnia 29 października br. rozwożać bydzie Gyricht Rejonowy w Katowicach sensacyjno afera trucicielsko [...] Arsenik noczyniym pomsty. [...] W czasie dochodzynio wszyjske prziznały sie do morderstwa, bez yntszuldigowanio sie tym, iże fater bõł nałogowym ozyrokym i maltretował matka.

Teroźnie zasiednōm na stolicy obskarżynio żona zamordowanego Franciszka Wlokowo i jeji zamynżne cery Zofia Sikorowo, Emilia Baluchowo i niyzamynżno Gertruda Wlokowo [...] Termin tyn budzi wielke zainteresowanie.⁷ Przegląd Codzienny: Dramatyczny proces trucicielski w Katowicach. [...] Franciszka Wlokowo wnosi antrag o wykluczynie jawności terminu. Gyricht wznosek odciepuje [...] Za piyrsko zeznaje 48-latowo Franciszka Wlokowo [...] Priznowo sie do przewiny, tuplikuje swōj oszklivy czyn niemożnościōm dalszego spōłżycio ze ślubnym, co sztyjc sie upijoł i w niymiłosierny spōsōb maltretował jōm i cery. Relacyjo tako panowała w jejih familiji już od 20 lot. [...] Wlokowo zaprzeczo jakoby keroś z cer była jeji w tym niecnym procederze spomocno. [...] zawołano była wtynczos dran cera Wlokowij, 24-latowo Zofia Sikorowo [...] kero na samym wstympie oświadczo, iże odnośnie matki i siōstr odkazuje wszelkich poświadczyń. A dyc priznowo sie do dwukrotnego nalonio do mlyka rozpuszczonego w wodzie arseniku fatrowi i wiy tyż, iże jadu dolifrowoła jeji ślubny, niy wiedzōnc o jeji przeznaczeniu. [...] przesuchano była nastympno cera, 19-letnio Emilia Baluch[...] do przewiny sie niy priznowo [...] W czasie dalszych jeji poświadczyń wyszło jednak na jaw, iże była narōwni ze siostrami i matkom wspōlniczkiōm zbrodnie. [...] Za ostatnio przesuchano było 17-latowo Gertruda Wlokōwna [...] na zala terminōw wchodzi z uśmiychym choby niy zdowajōnc sie sprawy, iże je obskarżono o spōłudział w ojcobójstwie. Do żodnyj przewiny sie niy priznowo [...] Głōwny świadek obskarżynio, Jōzef Sikora, kery po wyzdradzyniu jankuryjskigo czynu niyzawodnie powiadomiōł policyjo. [...].⁸

BINA 16

5 czerwnia 2024, zalon pomiyszkaniō w bloku z lot 60.

OMA:

Wyforsztelujcie sie, iże poszła żech wczorej na smyntorz do starzika i wycie co? Ledwo wrōciylach, myślałach, iże już tam ostana. Byłach mokro choby szczur... zrōb mi, prosza, tyj i podej tasza. Niy ta. Modro, ta mało. Mōm tam medykamenta, a musza zaroz wziōnc. Na czym to jo skończyłach...

⁷ Kurier Wieczorny, nr 83, 27.10.1936

⁸ Przegląd Codzienny, rok 1, nr 30, 30.10.1936

BINA 17

Październik 1936, kuchnia we familoku przyul. Krakusa 4

JŌZEF:

Kosztanta, je rozsōndek: bezwzglyndne wyynziynie. Wyjdzie jak mała bydzie podlotkiym...

KOSZTANTA:

Może jakoś apelacyjo, abo jak to sie nazywo, jakiś pierca może co doradzi?

JŌZEF:

Niy wiym, Kosztanta, niy wiym, niy wiym co mōm robić....

BINA 18

Czyrwiyń 2024, ul. Andrzeja 16–18, w postrzodku budōnku

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Katolik: Potworno trucicielka. [...] W wyniku terminu gyricht, co kludziōł wiceprezes Stodolak, skozoł Wlokowo i Sikorowo na kora długoletnigo wyynziynie, piyrso na 9 lot, a drugo na 8 lot. Inksze oskarżone ostały uniywinione. Po rozsōndku zasōndzajōncym gyricht, na antrag prokuratora, skuli wysokigo wymiaru kory, zarzōndziōł niyzawodne haesztowanie obōch oskarżonych kobyt, co postrzōd szlochu obecnyj na zale familije ostały odkludzane do wyynziynie w Katowicach. Termin wywołał olbrzimie zainteresowanie i przysuchiwało sie jymu moc ludzi z najbliższego obtoczynio oskarżonych trucicielek.⁹

Śląski Kurjer Poranny: Otruły fatra i ślubnego. [...] Place dlo publiczności zajynte do ostatnigo placu [...] Rozsōndek wywołał wielke wraźynie. Oskarżone przijnyły rozsōndek wybuchym szlochu. Przi odkludzaniu zasōndzonych ku wrotōm wyynziynie prziszło dramatyczne rozestanie sie siōstr i matki, przy czym niy szło jejich rozerwać.¹⁰

⁹ Katolik, rok LXX, nr 252, 30.10.1936

¹⁰ Śląski Kurjer Poranny, rok 2, nr 297, 30.10.1936

BINA 19

5 czerwnia 2024, zalon pōmiyszkano w bloku z lot 60.

OMA:

To by było na tela, możecie już zastawić nagrowanie. Tak to widza, iże tak mogło być. Po wojnie sie powadzili i już ze sobōm niy ozprawiali. A teroz myć zymby i do betōw, bo rano niy wstaniycie! Niyskoro sie zrobiyło.

BINA 20

*Czyrwiyń 2024, dziynnikorz przechadzo sie
od ul. Andrzeja 16–18 w kerōnku ul. Kościuszki.*

DZIYNNIKORZ ŚLED CZY:

Siedem Groszy: Z gyrichtu apelacyjnego w Katowicach [...] obrońca zasōndzonych wniōs od rozsōndku apelacyjjo [...] Gyricht Apelacyjny obniżoł kora zasōndzonym i skozoł Wlokowo na 5 lot wyynziynio, bez darowanie ji jedna trzecio kory podle amnestyje. Sikorowyj obniżoł kora do 3 lot wyynziynio i podle amnestyje darowoł jeji połowa kory.¹¹

BINA 21

*5 czerwnia 2024, postrzodek nocy, izba pomiyszkano w bloku z lot 60.
Oma śpi, oroz sie budzi i siodo na betach*

OMA:

Pierōna! Te jajca to Francek życzoł...

*Siemianowice Śląskie – Tresigallo – Siemianowice Śląskie
kwiecień–październik 2024*

¹¹ Siedem Groszy, rok VI, nr 19, 19.01.1937

SZTUDYNTKA I ŌMA

Bożena Donnerstag

PERSŌNY:

Maria Klōmcyno, ōma, mo juź swoje lata
Alina, wnuczka ōd Klōmcyny, frelka po licyum
Magda, cera ōd Klōmcyny, we kwiecie wieku
Dochtōr Wilczurek, ale co ōn tam wiy, wiek niyznany

BINA 1

Magda stoi wele beta i leko sztucho Klōmcyno, kiero śpi i charczy

MAGDA:

Mamo, stowejcie, przeca mieliście iść do kościoła rano, a śpicie choby nieżywo.

KLŌMCYNO *(ze zawartymi ōczami)*:

Ja, mamo, juź stowōm i sie drabko ōblykōm, czamu tyn zygor niy dzwoniōł?
Jeszcze piyńć minut!

MAGDA:

Mamo! To wyście sōm mojōm mamōm, a niy jo waszōm! Stowejcie! Naszykowane mocie sznity we kuchni.

Klōmcyno ōtwiyro ōczy, patrzy choby niy poznowała swoji cery

KLŌMCYNO:

Kaj jo je? I kaj je moja mamulka? A wyście fto sōm?

MAGDA:

Mamo! Niy rōbcie sie zy mnie szpasu! To jo, Magda, wasza cera. Budza was do kościoła. A wasza mama leży downo na smyntorzu!

KLŌMCYNO:

To żech je w dōma! Cosik mi sie śnioło, niy gorsz sie, Magda, juź stowōm i ida na śniodanie.

Magda wylazi z izby. Klōmcyno siedzi i godo po cichu do siebie

KLŌMCYNO:

Co to je za baba? Niy je mojōm mamulkōm, bo tako prawi i niy je podobno...
Śniodanie mi zrobiyla to zjym. Moźno mi sie spōmni skōnd jo jōm znōm...

Klōmcyno wylazi.

BINA 2

Do izby włazi wnuczka Klōmcyny, Alina. Rozglōndo sie

ALINA:

Ōma! Kaj żeście sōm! Musza wōm cosik gibko pedzieć!

KLŌMCYNO:

No przeca tukej żech jest, w ôknie siedza i dziwuja sie na bajtli. Fest larmujōm na placu. No, ja, bajtle to bajtle, larmo musi być! Pōdź sam drabko ku mie, musza cie wyściskać. Niy pamiyntōm, kiedy żech cie widziała!

Klōmcyno wyściskuje Alina i dowo dziōtsze głośnie kusiki

ALINA:

No, ōma! Jak to! Przeca byłach u wos w izbie zarozki wczora na wieczōr, jak żech ino z rajzy do dōm przijechała!

Klōmcyno i Alina siadajōm przy stole

KLŌMCYNO:

Ja...No toć, pamiyntōm, ino wiysz, nōm starym tak tyn czas uciyko choby tyn fliger. Jak cosik bōło wczoraj, to choby 2 tydnie tymu!

ALINA:

Ja, ja, jo to wiy. Ale co mi mama godali – niy poznaliście jōm jak wos rano budziyła? Cosik sie stało? Gorzij widzicie? Można trza iść do Wilczurka, coby wōm doł jake skerowanie do okulisty?

KLŌMCYNO:

Ale co ôn tam wiy, tyn Wilczurek! A twoja mama to tyż zmyśło, aż ji sie z uszōw kopci! Jo jōm niy poznała, boch miała ôczy zawarte, spałach przeca! Cosik mi sie śnioło ô mojij mamulce, świyc panie nad jejij duszōm, a Magda, twoja matka, mie za wartko ôbudziyła i niy wiedziałach kaj żech je. Tyla i szlus! A wy ôd razu do tego Wilczurka mie chcecie prowadzić, a co ôn tam wiy?!

ALINA:

No, już dobra, dobra, wierza wōm, nie pojady my do Wilczurka. Ale nowe bryle to i tak by wōm się przidały, bo te już chyba sōm take stare jak jo!

KLŌMCYNO:

Tyś, Alinko, niy widziała jeszcze jak wyglōndajōm stare bryle! Wielu ty mosz lot?

ALINA:

No jak to wielu! 19! Licyum żech skończyła!

KLŌMCYNO:

Aaaa... no, to może richtig czas na nowe brele...

ALINA:

To godŏm przeca! I bych wŏm bez to wszyjsko zapŏmniała pedzieć to, co zech chciała!

KLŌMCYNO:

A na mie godocie z mamŏm, że jo zapŏminŏm!

ALINA:

Jo sie zarozki rozwiŏnża pympek. Koniec godki ō tym, że zapŏminocie, bo jo durś chca cosik wŏm pedzieć!

KLŌMCYNO:

Jo juź je cicho. Godej, Alinko.

ALINA:

Chciałach wŏm pedzieć, że dostałach sie na sztudia! Mocie w dŏma sztudyntka!

KLŌMCYNO:

Toź jo musza na mszo dać! Tako wielgo radość!

ALINA:

Dejcie, dejcie! Bo niy bŏło tak leko, niby ōcyny dobre, a i tak, wyicie, konkurencjo deptała po piyntach!

KLŌMCYNO:

Moja wnuczka – sztudyntka! Mama wiy?

ALINA;

Niy, wyście, ōma, sŏm piyrsze! Przeca to przy vos zawsze zadania robiyła, pamiyntocie? I wiersze godała, i tabliczka mnożynio! A terozki – sztudia!

KLŌMCYNO:

Aże mi płaczki lecŏm... Moja wnuczka jedyno! A co tam bydziesz sie uczyć na tych studiach, Alinko?

ALINA:

Dostałach sie na socjologio!

KLŌMCYNO:

O, Jezusie Nazaryński! Zaś mŏmy socjalizm? Jak zech była takŏm frelkŏm jak ty, to wszyscy sie ō tym uczyli na tym jakimś WUMLu!

ALINA:

Ōma, niy socjalizm ino socjologio. To jest cołkym cosik innego. Jak sie zacznŏm sztudia, to tyź bydziecie mie ze tyj socjologije pytać, to sie ōbie dowiemy nowych rzeczy!

KLŌMCYNO:

Mosz prawie, Alinko, tyż sie byda uczyć!

BINA 3

Klōmcyno siedzi na stołku. Godo do siebie.

KLŌMCYNO:

Cosik tukej je niy tak... Niy pamiyntōm, co bōło dzisioj na ôbiod, ale pamiyntōm jake szaty miałać ôblecone, jak żech szła piyrszy roz na zolyty z mojim śwyntyj pamiyncki Alojzem... Niy pamiyntōm terazki wiela mōm wnukōw, ale pamiyntōm, po wiela bōł cukier w 80-tym roku, jak ino bōł we sklepie. A nojgorsze je to, że dzisioj rano wstałać i niy wiedziałać jak sie nazywōm. Ale terazki spōmniałać sie. Tela dobrze...

Do izby włazi Magda, niesie szolka z tyjem i talyrz z kołoczym.

MAGDA:

Co sam tak siedzicie przy prōżnym stole? Godaliście z kimś bez mobilniok?
Bo słyżać?

KLŌMCYNO:

A niy, cōrcia... tak sie godōm trocha do siebie. Jak to prawiōm – czasym trza pogodać ze sobōm, coby niy zwariować.

MAGDA:

Możno to i prawda, byda musiała sprōbować, ino jak tak zacznaz godać, to bydōm myśleć, że mōm cosik niy tak ze gowōm!

KLŌMCYNO:

A ktōż by tak pōmyśleł! Tyś je przeca dyrektorka we banku, mosz gowa, że hohoho. A w gowie same cyferki i procynty!

MAGDA:

Skosztujcie, mamoz, kołoczaz, bo sprawa mōm, to muszemy poōsprowiać.

KLŌMCYNO:

Już sie bojaz!

MAGDA:

Nic sie niy strachejcie. Piyrszoz sprawa – zapisałać woz do dochtora Wilczurka, bo Alinka godo, co wōm trza nowe brele. Prawdaz to?

KLŌMCYNO:

No, jak ônaz tak godo, to trzaz... Ino tyn Wilczurek, co ôn tam wiy? Ale dobra, przejdaz sie do niego.

MAGDA:

A terazki sprawa dziwno... Powiydźcie mi czamu w lodōwce leżōm poskłodane wasze nocne koszule i batki?

KLŌMCYNO:

Jo niy wiym!

MAGDA:

Przeca jo niy mōm do wos pretynsyji, ino sie tropia, że to je we lodōwce...

KLŌMCYNO:

Biglowałach rano pranie, poskłodałach i miałach dać do szufłodka, kaj zowždy... Jo niy wiym ô żodnyj lodōwce!

MAGDA:

No nic, kożdymu sie może wydarzić. To jo terazki jada do marketu, kupić wōm co?

KLŌMCYNO:

Możno tyn dobry tyj, co ôstatnio i jakeś bōmbony. Przeca cukier mōm dobry!

MAGDA:

Ja, ja, jo wiym... Alinka bydzie zaniydugo, to sie poōsprowiocie!

Magda wylazi z izby. Klōmcyno zaś godo do siebie.

KLŌMCYNO:

Coż ta Magda prawiya, przeca jo bych niy dała batkōw do lodōwki... Niy je żech tako gupio. Po co? No ale je tam znodła, a niy robi mie za bozna, bo to niy ma nic śmieszne... Jo żech tych batkōw tam niy dała!

Klōmcyno wstowo gibko ze stołka.

KLŌMCYNO:

Kule, a jak żech je tam dała?

BINA 4

Klōmcyno siedzi we przychodni u dochtora Wilczurka (ale co ōn tam wiy?)

WILCZUREK:

No, jak tam sie czujemy?

KLŌMCYNO:

Fto jak sie czuje?

WILCZUREK:

No, wy jak sie czujecie?

KLŌMCYNO:

My?

WILCZUREK (*wzdycha*):

Pani, pani jak sie czuje?

KLŌMCYNO:

Jo przyszła ino po skierowanie na nowe brele!

WILCZUREK:

A niy chcecie sie zrobic badań? Nic wos niy boli, niy strzyko, niy łupie? Przeca sōm żeście w latach!

KLŌMCYNO:

Ja... Tu mie boli, tu mie żgo, a tu mi lajerka gro! Po brele żech prziszła i szlus!

WILCZUREK:

Ale można krew zbadōmy? Jo widza, żeście sōm zdrowe, ale lepij zapobiegać niź leczyć, jak to godajōm!

KLŌMCYNO:

Przeca sami padocie, żech je w latach! Jak żech je w latach to żech je cołko do wymiany: szłapy mie bolōm, rynce mie bolōm, plecyska to rōmbiōm ōkropnie! Mōm zgaga, brzuch mie tyż boli i ani niy powiyw wōm co mōj żołondek wyprawio! Ale niesa swōj krziż zocnie! Moga sie ta krew zbadać, ino mie wachujcie, co bych niy świtła jak mi ta igła wbijōm!

WILCZUREK:

No i take pacjentki to jo lubia! To zarozki wypisuja skierowanie. Pani Maria Klōmka, pra?

KLŌMCYNO:

Maria Klōmka? Maria Klōmka? Jo jōm kedyś cheba znała... Ale niy lubiyłach jōm!

WILCZUREK:

Acha... To jo może zadzwonia do waszjy cery...

BINA 5

Magda i Alina siedzōm we izbie i ōsprowiajōm.

MAGDA:

No i tyn Wilczurek do mie zadzwonioł, bo ōma niy wiedziała jak się nazywo! Padoł mi, coby jōm pilnować, niy puszczać samyj nikaj, bo ōna sie zaczęła zapōminać!

ALINA:

Wilczurek! Co 0n tam wiy?!

MAGDA:

Ty a 0ma, 0bieście s0m jednake! To je przeca dobry docht0r, a 0ma 0odnymu dochtorowi niy wierzy! Tako już je! Nojlepij to by ino te swoje tyje z zielo piyła i tak sie leczyła!

ALINA:

Ale przeca kożdy może sie zap0mnieć, jo tyż jak trza to niy pamiynt0m, jak sie jaki aktor nazywo, abo jak mi jako kamratka godo „cześć”, a jo niy wiyw sk0nd j0m zn0m... A m0m 19 rok0w, a niy 80!

MAGDA:

No, ja, ja, mosz recht, jo tyż tak m0m... Ale my m0my połno rzeczy na gowie. I mogymy sie zap0minac. Wiysz jak je. Ale 0ma i te pranie do lod0wki wsadzyła, i u Wilczurka zap0mniała jak sie nazywo!

ALINA:

No, 0statnio mi godała, zech u nij downo niy była, a my sie widzieli dziyń pryndzyj...

MAGDA:

Toż sama widzisz, Alinko... Muszymy cosik p0myśleć. Wilczurek padoł, że trza porobić połno belejakich badań, coby dobrze 0ma zdiagnozować. Problym je taki, co terazki trza być z ni0m durś w d0ma, 0na niy śmie zostować sama! To, że dała pranie to lod0wki to je nic, ale jak cosik zacnie warzyć i zap0mni? Abo wylezie i sie straci? Nawet 0 tym niy chca myśleć!

ALINA:

Ty cołki dziyń w robocie siedzisz, ale jo m0m przeca jeszcze feryje do pażdziyrnika! Miałach jechać z kamratkami nad morze, ale moga to 0dpuścić, i byda w d0ma z 0m0m. D0m sie rady, mam0!

MAGDA:

Wiyw, że dosz. Ale to i tak ino na trocha, niydugo do szkoły p0ndziesz i zaś bydzie problym...

ALINA:

Niy tropiymy sie teraz! Jo sie to wszystko poskłod0m, byda brać 0ma na szpacyry, byda s ni0m warzyć i piyc zisty i kreple, bydzie dobrze, mam0!

BINA 6

Alina i Klōmcyno siedzōm przy stole i robiōm krojcōwka

ALINA:

Sztyry pionowo: tyjater we Katowicach, w kierym grajōm po ślōnsku. Na 5 liter.

KLŌMCYNO:

No, przeca, że Korez, byli my tam!

ALINA:

A pamiyntocie na czym?

KLŌMCYNO:

No toć! Na Cholonku i na tyj Hance, co zech tak ślimtała, żeście mie z mamōm chcieli wyprowadzić z tyjatra!

ALINA:

Wyście niy ślimtali! Wyście się zanosiyli choby mały bajtlik! Ludzie sie rozglōndali fto tak rycy.

KLŌMCYNO:

No, można trocha... Ale mie ściskało fest!

ALINA:

Wiy, wiy, niy ino vos... lecymy dalij, jeszcze trocha nōm zostało.

KLŌMCYNO:

Alinko...

ALINA:

Ja, ōma? Coś chcecie?

KLŌMCYNO:

Bo jo tak sie myślała ôstatnio, że cosik mi dolygo.

ALINA:

Coś vos boli, ōmko?

KLŌMCYNO:

Boli mie wszystko jak zawsze, ale to niy ô to idzie... Bo mie sie zdo, że jo zapōminōm sie trocha...

ALINA:

Koždy się zapōmino...

KLŌMCYNO:

No, toć, ale mie sie zdowo, że jo cosik barzij... W jedyn dziyń robiymy krojcōwka i umia wszystkie piōny i poziōmy, a na drugi dziyń to niy wiy jak ty mosz na miano, a co gorsza, niy wiy jak jo mōm!

ALINA:

To wōm, ōmko moja kochano, cosik powiy. Wiycie, że wōm fest przaja?

KLŌMCYNO:

No, toć, że wiy! Niy ma lepszyj wnusi aniżeli jo mōm! I tyż ci fest przaja, Alinko!

ALINA:

To wōm cosik powiy. My to z mamōm wiy, co wy zapōminocie.

KLŌMCYNO:

No i co tera?

ALINA:

Wilczurek – ja, wiy, co ōn tam wiy? – porobi wōm badania. To po piyrsze.

KLŌMCYNO:

A skond ōn wiy, że jo sie zapōminōm?

ALINA:

Ano stōnd, żeście u niego niy wiedzieli, jak sie mianujecie.

KLŌMCYNO:

Ja, uhmmm...Przeca jo u niego niy była już kupa lot, ōstatni roz to miałach teleporada przy tyj zarazie, covidzie!

ALINA:

No właśnie niy! Byliście niydowno po skerowanie na brele...

KLŌMCYNO:

Niy godej!

ALINA:

No przeca wos niy fulōm, ōmko moja!

KLŌMCYNO:

Toś mi teroski pedziała! Ale gańba u dochtora!

ALINA:

Żodnyj gańby niy ma, Wilczurek sie fest wziōn za to. Bydzie dobrze, ōma!

KLŌMCYNO:

To zrōb mi, Alinko, mojgo tyju, jo sie musza uspokoić...

BINA 7

Klōmcyno, Magda i Alina siedzōm razem i pijōm bonkawa i jedzōm dorta.

KLŌMCYNO:

To padocie, że dzisioj mōm gyburstag? Toż musza wōm wierzyć! A wiela to mōm lot?

MAGDA:

A wiela na dorcie pisało?

KLŌMCYNO:

81! Ale jo myślała, że to sie te cyferki przestawiły!

ALINA:

Jaaa, koždy by chcioł mieć ôziymnoście! Nawet jo! A już rok przelecio!

KLŌMCYNO:

Toż jo je jednak staro... 81 rokōw, fto to widzioł?!

MAGDA:

Mamo, terozki prawiōm, że 50 to je downe 30, to 80 to jakbyście mieli Abrahama!

KLŌMCYNO:

Jaaa, ino tak godosz! Bo sie ôdmłodzosh! Alinka, a jo cosik pamiyntōm – ty idziesz na sztudia!

ALINA:

Ja ōma, gynau, dobrze pamiyntocie.

KLŌMCYNO:

Na tyn, no, socyjalizm!

MAGDA I ALINA:

Socyjologio!

KLŌMCYNO:

Bōło blisko! We paździyrniku idziesz!

ALINA:

Jaaa, ale niy całkym tak jest!

MAGDA:

Jak to niy całkym? Za dwa tydzie zaczynosh!

ALINA:

Musza wōm pedzieć, że zrezygnowałaś ze sztudyrwania.

MAGDA:

Alina!

KLŌMCYNO:

A jo sie cieszyła, że byda mieć wnuczka sztudyntka!

ALINA:

Niy nerwujcie sie ôbie! Jo to mōm wszysko już poukłodane. Na sztudia moga sie iść kedy chca.

MAGDA:

No, a co bydziesz robić?

ALINA:

Byda tukej z ômōm. Coby jij sie nic niy stało.

KLŌMCYNO:

Alinko! A tyn socyjalizm?

ALINA:

Socyjalizm, co jo godōm, socyjologijo niy hazok, niy uciyknie! A jo niy chca, żeby mi cosik we życiu uciykło, a wy mi ôma, możecie uciyc! Bydymy sie ôsprowiać, robić krojcōwki, łazić na szpacyry i do Wilczurka, kery cosik tam wiy. Socyjologijo poczeko, ale wōm, ôma, niy dōm uciyc! A terazki śpiywōmy 100 lot!

SZTRAJK „GIESCHE” 1937

Krzysztof Kokot

PERSŌNY:

Manek – ojciec Francika (nazywany na wyrost „Dziadkiem”),
inwalida po pożarze w kopalni „Giesche”
Francik – syn Manka
Rōzia – żona Francika
Yrma – sąsiadka, wdowa, matka Ymilka

2 0 2 4

BINA 1

Środa 10 marca 1937.

*Typowa śląska kuchnia z lat 30-tych z byfyjym na tylnej ścianie.
W jednym rogu kaflowy piec kuchenny, w drugim kącie szezlong, na którym
drzemie Dziadek Manek. Przy oknie otwarta Singerka, przy której siedzi Rōzia.
Na piecu garnki i patelnia. Na środku stół i krzesła. Wszystko gotowe do obiadu.*

RŌZIA:

Przeca już trzi ćwiyrcki na zygorze! Kaj ńn je? Dyc nigdy tak dugo niy musieli
my czekać z ńbiadym!

MANEK:

Może sie trefińł z kamratami i poszli na piwo po szychcie?

RŌZIA:

Dobrze wiysz, że ńn niy taki gibki kajś iś po szychcie... a jeszcze do szynku?

MANEK:

Mosz recht, to do niego niypodobne, wiysz jaki z niego szpiterlok.

RŌZIA WSTAJĄC OD SINGERKI.:

Musza ta kartoflanka ścińgnńńc z blachy, bo zgynstnieje do imyntu, abo sie
przipoli!

MANEK:

Karminadle tyż dej na kraj blachy, bo zeschnōm... potym bydzie wynokwiōł, a nojlepiej to nalyj zupy i zacznymy bez niego.

RŌZIA:

Dziadek, jeszcze piynć minut, jak go niy bydzie, to nalywōm.

MANEK:

Przeca niy bydymy głodować skuli niego, tym bardziej, że tak fajnie wōnio bobkowymi liściami. A ty, dzioucha, rozprostuj sie choć na chwila kości ôd tyj maszyny.

RŌZIA:

Zdało by sie, bo krziże bolōm, ale dobrze wycie... świynta coraz bliżyj, wiosna! Kożdo chce mieć nowy klajd.

MANEK:

Rozumia, ale niy kosztym twójigo zdrowio. Kantnij sie trocha na szezłōngu, już ci robia plac. Niyh tyn bajtel tyż sie wysztrekuje... przeca to już na dniach. Dran na niego!

Jakby moja Wichta żyła, pewnie tyż by ci gowa zawracała. Rada miała fajne szaty, ani niy zagłōndōm do szranku, bo płaczki same lecōm. To już trzeci rok, trzecio Wielkanoc. Szkoda, że niy było jiy dane być babkōm...

RŌZIA:

Dejcie pokōj, już wstaja, nalyja zupy i zjymy. Gibcij nōm czas zleci, a ôn, jak kajś łazi

to bydzie jod potym. Chyba sie nic niy stało, co?

Manek wstaje i wyciąga z byfyja talerze i łyżki, po chwili podchodzi do okna.

Nalywej, nalywej, ô niego sie niy starej, może trza było ôstać na grubie? Fto to wiy?

Spokōj, żodnego na drōdze niy widać, ani tyż niy buczeli, jakby sie coś stało.

RŌZIA:

Padocie? Tōż nalywōm...

Manek odchodzi od okna i siada za stołem, Rōzia ściąga garnek z pieca i chochlą nalewa zupę. Po odstawieniu garnka podchodzi też do okna, by potwierdzić spostrzeżenie Manka.

Pusto... przeca wszyscy by naroz niy poszli do szynku na piwo? Coś mi sie to niy widzi!

MANEK *żegna się przed jedzeniem:*

W Imie Ojca i Ducha, bier łyżka i jydz, bo bydzie zimno.

RŌZIA:

Jakoś niy mōm smaku...

MANEK:

Suchej, jakby sie coś richtig stało na grubie, to by już narobiyli larma. Jak je spokōj, to niy je źle. Bier sie do jodła, boś tako lichy, że trza dwa razy na ciebie wejrzeć, żeby cie roz oboczyć. I niy starej sie, bo to może mojemu wnukowi... abo wnuczce zaszkodzić.

RŌZIA:

Wy to radzi mie za bozna robicie. Cyganicie bez mrugnińcio, jo tam swoje woża. Baby godajōm, że trza zważać, żeby fest niy zrubnōńć.

MANEK:

Kaj żeś ty jest rubo? Pokoż mi to! Przidzie wiater, to cie złōmie w nojszyrszym miejscu.

Jydz, bo dziecko potrzebuje. Wiysz, jak to godajōm: zanim ruby schudnie, to chudy zdechnie!

RŌZIA:

Wy juzaś swoje... Akurat kartoflōnki mu trza!

MANEK:

między jedną, a drugą łyżką zupy

Przeca mi niy powiysz, że Yrma...

RŌZIA:

Niy, niy powiym – fajno babka, jest za co chycić, o jest! Mo tu i tam... (*chichot*)
Ale ōna mo już chyba fufcich na karku?

MANEK:

Ja, a widzisz – modo i wyzgero.

Pukanie do drzwi. Wchodzi sąsiadka Yrma.

YRMA:

Dobry dziyń... o, widza, że jycie, to wos niy szteruja. Smacznego!
Chciałach ino pedzieć, że Francik dziś bydzie dużyj w robocie.

RŌZIA:

Skōnd wiycie, Kowolicko?

YRMA:

Ymilek z niym godoł, jak szel z kościoła, Francik mu pedzioł pod cechowniōm, że musi jeszcze kapka ōstać. Mocie sie niy tropić.

MANEK:

Dobrze, żeś wlazła, padosz że już wyjechoł z dołu, bo my sie starali, kaj ōn jest?

Yrma *wychodząc*

Leca, trzimejcie sie! Ino tyła chciałach wôm przekozać. Aha, niy chcecie coś ôd masarza, za godzina majôm być świeże oplerki i preswuszt. Manek, tyś powinien dobrze jodać, bo jak brakło Wichty, toś coroz lichszy. Niy mo cie fto flegować.

RÔZIA:

Prowda godocie, prawie nic niy jy, ino grubôm żyje. Ciyngym medytuje, a medytuje...

MANEK:

Chyba niy chcecie, żebych wôm muskle pokozoł?

YRMA:

A czymu niy? (*ze śmiechem*)

MANEK:

Bo byś cołko nocka niy mogła usnōńc.

YRMA:

Gupoty sie ciebie trzimajôm! Ida już.

RÔZIA:

Może pōda z wami. Zakłupcie, jak bydziecie słaźić, to sie tyż przeleca, samyj mi sie jakoś niy chce. Może szinka ciepnom? Przeca śwynta na karku.

YRMA:

Dobrze, we dwie zawsze lepij.

Yrma wychodzi. Po chwili...

RÔZIA:

Co ta Kowolicka tak do was zagaduje?

MANEK:

Znōmy sie ôd bajtla, bez to zagaduje, przeca to nic takego. Jo wdowiec, ôna gdowa, jakoś sie dogadujemy.

Dowej na stōł! Niy bydymy dużyj czekać, wciepnij na talyrz te karminadle, zjemy i fertig.

RÔZIA:

Ja, już wôm nakłodōm, a potym Francikowi dōm kartofle pod pierzina, a miynso do bratruły, bydzie miōł ciepłe, jak przidzie. A widzicie, tu jeszcze sōm kiszōne ôgōrki, trza je zjeś do kōńca.

RÔZIA *donosi miskę, siada i wspólnie z teściem jedzą obiad:*

A czymu tyn jeji Ymilek juzaś po Nikiszu sie krynci? Przeca miōł być w Panewnikach. Niy rozumia!

MANEK:

Einfach, bo je stönd.

po chwili

Jak pamiyntöm, Ymilek bōł zawsze dupiaty, zowdy trzimoł sie maminyj kecki. Przijyni go na gruba, bo kaj mioł iść. Yrma miała tam znajōmości na verwal-tōngu. Wyrzimoł dwa tydnie, niydugo potym poszeł do franciszkanōw.

RŌZIA:

Słyszalach, że do zokōnu poszeł. Trocha sie dziwia, bo Kowolicka to fest na ziymi stoi, richtig mōndro i zaradno, a synka z dōma wypuściyła do klosztoru. Synek stracony... i wnukōw niy bydzie...

MANEK:

Tak czasym bywo... to bōł cucus ōd mamy. Rozpieszczōny, ale i taki delikatny, jak przirōwnać do inkszych dzieci na placu. Ciyngym kajś z boku w swoimj ţwiecie. Ksiōnzki mu kupowała, na starym klawiyrze brzdōnkoł, zawsze w bry-lach...

A Yrma, cōż... porzōndno babka. Źycie jōm sponiywiyrało... szkoda.

RŌZIA:

No ja, sama ōstała. Jeszcze, jak Ymilek bōł bajtlym, to starego Kowolika pōnoć zabyyli. Prowda to, bo ludzie bele co godajōm?

MANEK:

Niymcy go gruchli pod Anabergym... Ymilek jeszcze do grōndszule niy cho-dziōł. Patrz ino, jak tyn czas leci! Jak dziś pamiyntöm pogrzyb Bernada Ko-wolika, z orkestrōm gōrniczōm, wojokami... I ta wielko trumna, co ledwo przeszła bez futrziny w siyni. Za niōm Yrma z Ymilkym. Ach, szkoda godać.

RŌZIA:

Bez to niy ma sie co dziwować, że Ymilek taki wychuchany. Jako matka... no, prziszło matka, to rozumia. A z tym klosztorym? Może to było powołanie, a na to niy ma rady.

MANEK:

Mosz recht, ale nōm nic do tego, pewnie tak musiało być. Dej, poschrōniōm po ōbiedzie, a ty mozesz jeszcze trocha podubać przy tych szmatkach, pokiela jeszcze widno. A nojlepij sie trocha legnij, to ci dobrze robi. Godōm ci.

RŌZIA:

Wy juzaś ō tym leżyniu! Niy, niy, nojpiyrw skocza do sklepu, pojutrz pīōntek, kupia jakeś matyjasy, może zrobimy hekele?

MANEK:

Jak tam chcesz, jo sie zakurza fajka, a potym sie kapka legna, jak ty niy chcesz. Może i nōż nabrusza na te hekele. Narobiłyś mi smaku!

YRMA *głos zza drzwi:*

Rōzia, ida, czekōm przed siyniōm!

Dziadek kręci się po kuchni, zbiera talerze, a Rōzia zbiera się do wyjścia.

BINA 2

Manek siedzi z fajką przy Singerce i spogląda przez okno na plac.

Po chwili pukanie i wchodzi Yrma.

YRMA:

Wiyem, że Rōzi jeszcze niy ma, to przileciałach.

MANEK:

Kaj żeś jōm straciłyś?

YRMA:

Poszła porzykać do kościoła, a jo ino na chwila. Suchej, Francik ôstoł na zebraniu załogi, bo przijechol delegat z Kongresu Rad Zakładowych z nojswiyższymi informacjami, ponoć niywesołymi. Musieli to zaroz ôbgodać, dyć trza zarzōndzić, co dalij. Sztrajkować, niy sztrajkować? Można trza godać? Ale niy ma s kym!

MANEK:

A skōnd ty to, Yrma, wszystko wiesz, przeca siedzisz cołki czos w dōma?

YRMA:

Manek, jo wiyem wszystko. Cera ôd Bernadowyj kuzynki robi na cyntrali, to sie nasucho. Ymilek tyż niygupi, w kościele ô wszystkim godajōm.

MANEK:

Wydowało mi sie, że cie to nic niy ôbchodzi!

YRMA:

Dyć dobrze wiesz, że jo za frelki noleżała do POW, tam zech Bernada poznała. My zawsze mieli polskiego ducha. No i widzisz, jak sie to skończyło... chopa mi zabyli, ôstałach z bajtlym sama...
Ale „Głos Robotniczy” czytōm, politykōm sie interesuja.

MANEK:

To co piszōm w tym cajtōngu ô naszym grubie, bydzie sztrajk? Farorz sie tego boi – tak mi pedzioł wczoraj Ymilek.

YRMA:

Wiysz, powiym ci... jo tyż sie boja. Ale pogodōmy inkszym razem, bo Rōzia może już przisć, a ôna niy powinna sie nerwować.

Moga ci pedzieć, że ô nos tyż mi sie rozchodzi. Bōłby nojwyższy driker coś postanowić.

Lata lecōm...

MANEK:

Chyba niy chcesz, abych ci sie teraz, w tych niypewnych czasach ôświadczył?

YRMA:

Nō, niy, ale musimy sie jakoś ugodać... tak na poważnie. Jakby to wyglōndało, nō wiysz... tak na kocio łapa? Przeca Ymilek niydugo bydzie mioł świyncynia!

U ciebie tyż lada momynt dużo sie zmiyni. Wygodnie, jakby modzi mieli swōj kōnt. U mie byłoby ci dobrze, a i do Francika miołbyś ino jedyn krok.

MANEK:

Suchej Yrma, oba tego chcemy, ale teraz sōm ważnijsze sprawy. Musi sie wyklarować, czy bydōm sztrajkować, i to musi sie skończyć na warunkach gōrnikōw. Inaczyj mogōm nos z tych familokōw wysiudać. I co potym? Dalij, musimy uszanować Ymilka. Niy chca mu zajmować miejsca u niego w dōma. Niyh spokojnie rychtuje sie do świyncyń i rajzy do Afryki na misyje. Dopiyro potym, już blank na spokojnie mogymy pomyśleć ô nos. Ciyngym trza ci to erklerować?

YRMA:

Niy trza, niy... wszysko rozumia, ino jak ty to powiysz, to jakoś inakszyj to do mie dociyro.

Wierza ci na zicher.

MANEK:

Ja, widzisz, nasze sprawy muszōm poczekać, ale pamiyntej, że ci przaja.

Pocałunek muska Yrmę w policzek.

Chyba mie niy ôstawisz, pra?

YRMA *wzruszona:*

Ja, ja... trza poczkać. Może potym tyn świat sie ôdmiyni.

zmieniając ton

Aha, jakby trza było nogle wołać hybama, to dej znać!

Wychodzi. Manek szuka fajki i zamysłony siada przy stole. Po chwili wpada Francik, ubrany po roboczemu z czapką na bakier.

FRANCIK:

Nō, już zech jest...A kaj Rōzia?

MANEK:

Poszła cie szukać na „Ligoń”...

FRANCIK:

Doprowdy?

MANEK:

A jak! Wziyna nudelkula i poszła. Bydziesz chyba klynczoł na grochu, oj, bydziesz.

FRANCIK:

Przeca wyście dobrze wiedzieli, kaj jo jest!

MANEK:

A co, tyś mi pedzioł?

FRANCIK:

Nō niy, ale wy wszystko wiycie, choć sie z tego prykōla niy ruszocie.

MANEK:

Jak sie jest w gabinecie ciyni, to trza zawdy trzimać rynka na pulsie. Niy tak jest?

Zupa mosz na blasze, karminadle w bratrurze, kartofle pod pierzinōm, ôgōrki w misce.

Jydz, bo zaroz sie ôbalisz... a potym godej, co żeście ustalili.

FRANCIK:

Nō, ale kaj je Rōzia?

MANEK:

Poszła po śledzie, ale widzieli jōm, jak rzykała w kościele. Wiysz, jak to baby. Pedzioł zech jij, że musiołś dużyj ôstać... dlo świyntego spokoju. Godej teraz, lepij żeby niy słyssała.

Francik sprawnie przygotował sobie spōzniony obiad i w trakcie jedzenia opowiada.

FRANCIK:

Tak, jak my przewidzieli, na kōngresie sie niy dogodali. Nawet straszyli, żeby nōm

do gowy niy prziszło sztrajkować, bo nos zaroz policjo wychyto, bo to bydzie sztrajk niylegalny. Mōmy pamiyntać, że niy ma ludzi niyzastōmpiōnych, a pi-niyndzy na spełniynie naszych postulatōw niy majōm i szlus.

MANEK:

A co delegaci?

FRANCIK:

Delegaci niy chcōm sztrajku, bojōm sie, że ludzi wyciepnōm z roboty. Sōm za tym, żeby czekać. Naciskajōm na zwiōnzki zawodowe, żeby nos poparły.

MANEK:

Nō i co?

FRANCIK *kontynuując jedzenie*:

Po zebraniu my siedli w poru i ustalyli...

MANEK:

Co żeście ustalyli?

FRANCIK:

...że spotkōmy sie w sobota i zadecydujemy. Hm, niy wiym, czy jo wōm to moga pedzieć? To miała być tajmnicza.

MANEK:

Synek, przeca wiysz, że niy ino dlo zdrowio chodza na szpacyry.

FRANCIK:

Ale co to mo do naszych postulatōw na grubie?

MANEK:

A ty myślisz, że jo ida na działki, abo do lasu, żeby łyknōnc świyżego luftu? Tam sie spotykajōm nojważniysi z załogi „Giesche”, kamraty z roboty i z powstania. Tam rodzōm sie plany, ftore wy przedstawicie dyrekcji i zwiōnzkom. Niy byda ci godoł nazwisk, bo to gyferlich.

Otwierają sie drzwi i wchodzi Rōzia z zakupami.

RŌZIA:

Chwała Bogu, żeś już jest. Bołach sie, bo różnie ludzie godajōm.

BINA 3

Dwa tygodnie do Wielkanocy, niedziela 14 marca.

Na scenie bez zmian. Manek w białej koszuli.

RŌZIA *kręcąc się koło byfyja*:

Skōnd my mōmy tyła chleba?

FRANCIK:

Jak zech szel wczora z roboty, to wszyske chopy kupowały, to i jo kupiōł.

MANEK:

Jo tyż kupiōł, jak żech szeł ze szpacyru. Yrma kupiła dwa, tak fajnie wōniały, że piyntka żech już zjod.

RŌZIA:

No to bydziecie pościć i aż do świōnt wodziōnka wcinać. Przeca chleba niy zmarnuja, to by bōł wielki grzych.

FRANCIK:

Niy bydzie tak źle, bo ponoć mōmy dużyj siedzieć na grubie.

RŌZIA:

Myśla, że niy za marne fyniki. Szkoda, że niy łazicie do kościoła, bo dziś na sumie farorz Dudek cołke kozanie godoł ô ciynżkich czasach i ô naszym grubie.

FRANCIK:

Widzisz, na grubie je wielko haja. Dziś mōmy sie spotkać w cechowni na zebraniu i posuchać, jak zwiōnzki dogodały sie z dyrekcjōm, bo jak niy...

RŌZIA:

Z niymi nigdy niy wygrocie, a jeszcze wos z roboty wyciepnōm, a wiysz, leko ni ma, bajtel już klupie!

MANEK:

Ōni tam na grubie wcale tak dużo niy chcōm, dobrze wiedzōm, że ciynżke czasy.

RŌZIA:

Ale mogōm psinco dostać.

FRANCIK:

Czy to jest za wiewa, żeby nōm dali dwa tydzie płaćnego urlopu, sześć tōn wōnglo na rok, dodatek za nocka, eli bōty, hełmy, ciepłe koszule i mydło za darmo?

MANEK:

I powinni wyciepnōnić na zbity pysk miglancōw, dozorcōw i urzyndnikōw. Niych choć na godziny zatrudniōm kaj sie do gōrniczych inwalidōw...

FRANCIK:

I do roboty niych weznōm naszym, fachmanōw a niy przywleczoneych z bele kōnd obibokōw.

RÔZIA:

Nō, niy wiem jako to bydzie... Wy tam na tym dzisiejszym zebraniu za bardzo niy pyskujcie, bo ôstanymy bez niczego. Vos, Dziadku, jeszcze z miyszkanio wyciepnóm... I kaj pōdymy?

Francik podchodząc do żony.

Niy trop sie, my niy sōm tacy gupcy, ale jak już sie tela narobiło, to musimy sie z kamratami trzimać do kupy i pokozać, że z nami tyż trza sie rachować.

MANEK:

Zrōb nōm kawy i pora sznitek – tak, jak zawsze – z tustym.

RÔZIA:

To mocie zamiar tam siedzieć w tyj smrodlawyj cechowni?

FRANCIK:

Wiyisz, dzioucha, lepiej nosić, niż sie prosić.

MANEK:

Jo ino ida na chwilka ôbejrzyć i zaroz przida razem z Yrmōm.

RÔZIA:

Patrzcie sie, to już wszyscy sōm umōwiyni, ino jo nic niy wiyem. Może i jo by chciała tam iść?

MANEK:

Rôzia, ty lepiej siedź z tym basym w dōma, bo to, co mosz pod sercym, je dlo nos nojważnijsze i dlo niego to robimy. Bez ciebie sie ôbyńdzie.

BINA 4

*Poniedziałek po Niedzieli Palmowej, 22 marca 1937. Ta sama kuchnia.
Na szelōngu drzemie Rôzia. Po chwili ktoś delikatnie puka i wchodzi Yrma.*

YRMA:

Jest tu fto?

RÔZIA:

Ja, wlyźcie rajn, jo sie trocha kantła, bo mi tak wyrobio w brzuchu...

YRMA:

A kaj Manek? Prziniōsłach mu świyžo „Gazeta Robotniczo”, nych sie poczyto.

RÔZIA:

Dziadek juzaś kajś poloz. Na ucho mi pedzioł, że idzie negocjować.

YRMA:

Ach, te chopy! Niydobrze, że cie sama ôstawiyli. Posiedza tu z tobôm. Wiysz, sicher ist sicher!

Ty sie leż, a jo ci poczytôm:

„Strajk głodowy na kopalni Giesche trwa w dalszym ciągu i przybrał formy tragiczne. W podziemiach głoduje tysiąc górników, nie przyjmując ani wody, ani papierosów, ani żadnego pokarmu od kilku dni. Ludzie są skrajnie wyczerpani. Wielu mimo krańcowego wyczerpania nie chce zgodzić się na wyjazd na powierzchnię mówiąc: wolimy umrzeć niż wycofać się z walki. Dyrektor nie raczył stawić się na spotkanie z przedstawicielami związków zawodowych...”
Co ty, Rôzia... niy ślimtej!

RÔZIA:

Jak môm niy beczeć, jak tam na dole mōj Francik, a jo tu sama z tym basym. Zanim sie urodzi, to jeszcze może ôstać siyrotôm

YRMA:

A ty myślisz, że jo sie ô mojigo Ymilka niy boja? Bo ôn taki delikatny, chorobliwy, ale sie upar i poszeł. Pedzioł mi ino, że to byłaby gańba, jakby syn powstańca niy bōł z kamratami.

Cōż miałach pedzieć...

Z Panewnik go delegowali do naszego kościoła, do pomocy Dudkowi. Rychtujôm sie, jakby trza było kōmunio dować, abo ôstatnie namaszczynie. Muszymy to wytrzymać, muszymy!

RÔZIA:

Ale jo tu przeca lada dziyń, co jo godôm, może i za pora godzin...

YRMA:

Jo byda do ciebie zaglōndała, a przeca niydugo przidzie Manek. Jak co, to tu mosz połka i wol we ściana.

(wyciąga z byfyja i podaje jej tłuczek do ziemniaków)

Abo sie drij, jo zaroz poleca po hybama, przeca to ino dwie siynie ôd nos.

RÔZIA:

Dziynkuja wôm. Już wszystko môm przirychtowane.

YRMA:

Ôbejrzysz, wszystko bydzie dobrze. Ino sie za bardzo niy przejmuj, jak wytrzymali tydziyń, to i wytrzymiôm do kōńca. Padôm ci – wygrajôm.

Do kuchni wchodzi Manek w płaszczu i czapce.

Widzisz, Rôzia, Manek już jest, a my tu akurat ô niym godali.

MANEK:

A cōż tu było do godanio?

YRMA:

Przeca już żeś niy mody, dużo to trza? Ftoś cie po ciymoku gruchnie i co? Przeczytej sie lepij cajtōng, to sie dowiesz... chyba, że ty jak zawsze mosz wiadōmości z piyrszyj rynki.

MANEK:

Tela ino wiym, że 87 chorych chopa wywiyżli z dołu na wiyrch, niyftorzi na noszach, niyprzitōmni. Bōł tam przy nich twōj Ymilek w habicie, przewiōnzany sznurym. Lotoł, to tu, to tam...

YRMA:

Niy godej przy Rōzi. Płakać sie chce...

Ymilek mo za pora miesiyncy jechać na misyje. Ciyngym ô tym myśli, uczy sie, rychtuje do wyjazdu, a tu sztrajk. Boże, ty to widzisz i niy grzmisz? Kaj ta sprawiedliwość, kaj te franciszkańske „Pax et Bonum”?

MANEK:

Wierz mi, Yrma, wszystko bydzie dobrze, po naszymu.

YRMA:

Wierza ci, Manek. Z Panym Bogym!

Yrma wychodzi

RŌZIA:

A kaj mōj Francik? Nic ô niym niy wycie? Dalij ô głōdzie pod ziymiōm?

MANEK:

Powiym ci, choć to niypewne. Pōnoć sie dogadujōm, wojewoda nacisko na kapitalistōw.

Francik sie trzimo na swoim odcinku, pilnuje żeby woda ich na dole niy załōła i świyży luft dochodziōł... Ale dużo naszymych chopcōw chorych, mimo tego niy chcōm wylyż.

RŌZIA:

I co?

MANEK:

Porzykej, może i coś z tyj naszymy krwawicy bydzie?

Wielki Wtorek, 23 marca 1937; późnym wieczorem. Do pustej kuchni wpada umorusany Francik w roboczym ubraniu w hełmie na głowie i lampą w ręce.

FRANCIK:

Jest tu fto?

Zdejmuje z głowy hełm, siada zmęczony przy stole. Ściąga trzewiki.

Co sie tu dzieje? Kaj ôni poszli?

Wylatuje z kuchni, po chwili wraca jeszcze bardziej zaniepokojony.

Do stu pierõnõw, kaj ôni wszyscy poleźli? *mówi do siebie pod nosem*

Nagle zza drzwi do pokoju słyhać cichy płacz dziecka. Pod Frankiem uginają się nogi. Siada przy stole. Wtedy otwierają się drzwi i wchodzi Manek.

FRANCIK krzykiem:

Tato! Podpisali! Wygrali my!

MANEK *kładąc palec na usta:*

Ciii... mosz gryfno, zdrowo dziouška, Francik.

Francik tonie w objęciach ojca.

FRANCIK:

Moga ôbejrzeć?

MANEK:

Przeca to twoje dziecko, ale nojpiyrw sie choć trocha ôpultej, bo sie wylynknie!

Francik ściąga ubranie, nalewa wody do miednicy, szybko się myje i w samych spodenkach, na palcach wchodzi do pokoju. Manek kładzie się na szezłõngu.

Po chwili wstaje, nabija fajkę i mówi w stronę widowni.

MANEK:

No, to szlus. Juzaś wszystko było na mojj staryj gowie. Tu sztrajk, ciyngym szpanung, tu trza było porõd ôdebrać, bo zanim ta Yrma przikulafa sie z hybamõm, to było prawie po wszystkim. Wody zech nagrzoł, handtuchy wybigło-woł, pobłogosławiõtech znakym krziza...

To już mõm za sobõm. Može niyfajnie my zrobili, że bez ôjca ôbrali my miano...

(Siada na krześle przy stole, zapala fajkę i czeka. Po chwili wchodzi zapłakany Franek.)

FRANCIK:

Niy wiyim, jak wōm, tato, dziynkować. Poradziliście i radzić gōrnikōm, szkrobać kartofle i porōd ôdebrać. To glück mieć takigo ôjca!

MANEK:

A niy mosz nōm za złe, że my bez ciebie z Rōziōm ôbrali miano do małyj?

FRANCIK:

Przeca inksze niy mogło być, ino Wichta!

MANEK:

Ja, dyć twoja matka tyż była Wichta. Niych mo po babce.

FRANCIK:

Ale na chrzcie i w papiōrach niy bydzie Wichta, ino Wiktorja.

MANEK:

Wiktorja 1937!

SILESIONAUCI A NIYSKOŃCZONO RAJZA

Kornel Sadowski

PERSŌNY:

Kapitan – Erich Knobel, Kapitan we stopniu Generała

Romuald – Romuald Spokowski, drugi kapitan

Wefcia – Genowefa Hasik, piyr szo Sziszhajerka

Stelina – Sztuczno inteligyncyjo pokładowo Okryntu/Szifu „Ziętek”

BINA 1

*Okrynt/Szif „Ziętek” – O/S „Ziętek” furgu bez przestrzyń kosmiczno,
furt daleko ôd swojigo hajmatu Ziymie. Na szezlongu, kery skłodo sie w zic
– je to możliwe bo mōmy XXXI wiek i ludzie niy umiôm se już spokopić jak każde
meble i szranki mogły być potajlowane osobno – przebudzo się kapitan szifu.
Erich Knobel. Je fest stary, chudy a z dugôm brodôm.*

KAPITAN:

Jadymy... we rajza, bez kosmos... [Ostoroż sie budzi] Niy!!!

STELINA:

Langsam, Kapitanie. Zaloguj sie do systymu.

KAPITAN:

Jezderkusie... Co sie... Jerōna, chobych miōł hercszlag. Ale miōłech śnik...
Romuald!

STELINA:

Romuald je niyobecny. Zaloguj sie do systymu.

KAPITAN:

Niyobecny? Zrychtuj mi felezunek szifu, Stelinko.

STELINA:

Na szifie O/S „Ziętek” źeście sōm ino wy, Kapitanie. Zaloguj sie do systymu.

KAPITAN:

Ino jo? Jo nic niy pamiyntōm...

STELINA:

Zaloguj sie do systymu.

KAPITAN:

Ja, ja... Już, Stelinko, już. Kapitan Erich Knobel. Szl15V31-01

STELINA:

Zalogowano.

KAPITAN:

[obraco sie na zicu, ale wszyndzie je ćma.] Wefa! Romuald!

STELINA:

Niy ma ich.

KAPITAN:

Niy ma ich? Co ty fandzolisz?

STELINA:

Niy czuja inkszych form żywobycio, prōcz vos, kapitanie.

KAPITAN:

Pokoż mi sam nagrania ze szifu.

STELINA:

Niy moga. Zablockowano.

KAPITAN:

Do pierōna... Szifheft. Prowadziōlech heft. Jako je data na ostatnich 3/4 dniach szifheftu?

STELINA:

1.03.3025 do 3.03.3025 rokōw ziymskich.

KAPITAN:

Pokoż piyrsze z nich.

NAGRANIE 1.

*Na nagraniu widzimy modego Ericha Knobla.
Mostek wyglōndo gynau jednako, ale widzimy go z inkszyj zajty*

KAPITAN:

Mianuja sie Erich Knobel. Kapitan szifu O/S „Ziętek” we stopniu Generała GHK.

Mōmy rok ziymski. Czekej, ino musza w tyn kalender, ja, ja... Kaj jo mōm sam bryle? (*leżōm przed nim.*) No! Tak zech myśłoł, na Ziymy je teraz Marc! Eh. Jo sia tego niy umia wyforsztelować. Już Marc. Czyli piyrszy Marca roku 3025. Dziyń 6 roku 8, kej my wyruszyli ze Kontrolni Wylotōw Kosmicznych (KWK) „Murcki” w Katowicach, we rajza w poszukiwaniu inkszych, poza ślōnskōm

cywilizacji i eksploracji inkszych planet. Latoś pocisło nos fōrt cugiym gra-
witacyjnym gwiozdy Alfa Centauri. Po włōnczyniu cołkiygo hajcu na silniku
5 i 6 wygiyńło szusblechy ze prawyj zajty, kej ino ustowiymy pryndkoś bydymy
mogli wylyż na szif i to zrychtować.

(Na mostek wlatuje Romuald, w rynkach mo jakiś brif)

ROMUALD:

Ponie Kapitan, ponie Kapitan! Na radarach mōmy sztyjc na naszymy drodze
wielgi obiekt. Zbliżo sie z takim tempym, że mogymy sie z nim strzasnōńc.
Pono szif.

KAPITAN:

Co? Co ty do mnie godosz, te? Dyć my sōm we przestrzyni kosmicznej. Szif?
Ty wiysz jaki kosmos je wielgi? My niy sōm na Goczałach, abo inkszym Ryb-
nickim, coby my sie mogli z kimś strzaskać.

ROMUALD:

Oba brify z radarów pokozujōm, że my sōm na kursie kolizyjnym.

KAPITAN:

(bado na papiōry) Pierzina. Richtig my sōm na kursie kolizyjnym. Stelina?

STELINA:

Potwierdzōm. Ze raportōw wyniko, że choby my zgasiyli maszyny, to w nich
dupnymy. Ale zwiynkszo to szansa na przeżycie.

ROMUALD:

Poprosiōlech ô raport z gniazda. Zaroz Wefa szczyrknie i bydymy wiedzieć czy
wylōnczyć.

KAPITAN:

(godo do kamery) Wylōnczo sie hajc w maszinach, coby niy powynkszać tempa
furganio w przestrzyni. A po prowdzie trocha surfowanie po fali ze czasoprze-
strzyni. Straty energii z wyhamowanie z tyj pryndkości bydōm niy do ôdzy-
skanio. Trzeba było czekać na Wefcia.

WEFCIA:

(przez magafon) Tukej gniazdo. Co ty, Romuald, juzaś dupis fleki? Corno obez
nos choby luft na Załynżu. Niyma żodyn szif.

KAPITAN:

O! Wefcia. Wefcia była jeszcze na Ziymy nojllepszym oficerym ôbronnym. Jesz-
cze za czasōw wielgij wojny. Po wojnie oficerzy i wojskowe ôstali przeciepnijń-
ci do Holdingu Kosmicznego. I tak mōmy sziszhajerka Wefa, we stopniu Leut-
nanta.

WEFCIA:

Niy koźcie wylōnczać! Eli hajc w generatorze spadnie to juź nigdy go niy ōd-
polimy.

KAPITAN:

Sziszhajerka. Mój pra,pra,pra-ōpa bōł sziszhajer. Na Katowicach. Na KWK
– czyli tyź robiōł we kosmictwie. I tako mōmy tradycyjo we familiji.

ROMUALD:

Kapitanie?

KAPITAN:

Niy widać go, ale ōba raporty pokozujōm cosik przed nami. Zredukować ener-
gijo...

WEFCIA:

Panie Kapitanie, niy! Niy ōdpolimy maszyny eli jōm...

KAPITAN:

Zredukować energijo hajcowanio silnika 1 i 2.

WEFCIA:

Niy!!! Do pierōna! Niy!

ROMUALD:

Inpakt za 2 godziny.

KAPITAN:

Wefa! Niy śmiysz sie tak do mie ōdzywać. Prziłaź mi sam na mostek! Romuald,
bydzie widać jak w niego dupnymy?

ROMUALD:

Ja. Tukej... Po lewo.

BINA 2

[Wracōmy na mostek, kaj stary kapitan Erich Knobel niy może uwierzyć, co
ōglōndo. Za ekranami, obez ōkno spoziyro złote świotło jakijś galaktyki]

KAPITAN:

Ja, ja! Juź pamiyntōm. To wtynczos sie zaczęło...

STELINA:

Mōm trocha przesunōńć?

KAPITAN:

Ja... O te 2 godziny.

NAGRANIE 2

*Sõm my juzaś z modym kapitanym po inszyj zajcie mostka.
Kapitan i Romuald siedzõm na szezlongu/zicu, kery teroz robi
po prowadzie za rogõwka. Kapitan ślimto, Romuald tyż.
Wefa ino lazi w te a nazod i sie niy õdzywo*

KAPITAN:

Jezderkusie. Romuald. Jak to sõm ostatnie chwile przed tym jak śmiertka przydzie, to chciołech Ci pedzieć, Romuald, że niyma mie za Ciebie gańba. Jak przeżyjemy, to moga Ci szrajbnõńc jake referyncyje. Robota co byś dostoł w jakim nojewelt sztandysamcie. Ty, Wefcia, tyż....

WEFCIA:

Ja, mhm... A my już niy mieli być po tym dupniyńciu? Aleś, Romuald, nudle na uszy nawijoł kapitanowi.

ROMUALD:

Ratuja nom życia! Gynau sõm my na torze zderzynio! Mõm dwa raporty. Oba wygenerowane bez naszo Stelina!

WEFCIA:

Jo silnika 1 i 2 już niy õdpola!

ROMUALD:

Mi jeszcze podziynkujesz eli przeżyjemy impakt!

WEFCIA:

Ja, mhm. Srimpact! W nic niy dupnymy, bo nic sam niy ma.

KAPITAN:

Wefa! Mie tukej niy trza paniki!

ROMUALD:

O! Zaroz to sprawdzimy... Impakt za... 5... 4... 3... 2... 1...
(czekajõm i nic) Co sie dzieje!? Kaj tyn szif? (patrzõm obez õkna. Ćma.)

WEFCIA:

Jerõna!!! Co to mo być!? Mosz nos za boznõw!?

ROMUALD:

Niy, niy. Jo niy rozumia. Mõm raporty...

WEFCIA:

Do rzici se je wraź.

KAPITAN:

Wefa, langsam! Wracej do roboty. Sprõbuj podwoić moc silnika 6 i 5.

WEFCIA:

„Sprōbuj podwoić”, jo niyma Ponbōcek! Ani heksa. Do niygo moga być heksa!

ROMUALD:

Jo niy rozumia...

BINA 3

Wracōmy na mostek kaj siedzi stary Erich Knobel

KAPITAN:

Romuald... Stelina?!

STELINA:

Ja, Kapitanie?

KAPITAN:

Puś nagranie z dnia 7 roku 8.

STELINA:

Ja, sznupia. Sztart nagrywania bōł ôd ćwirć na trzecio dnia 7 roku 8, puścić to, ja?

KAPITAN:

Ja...

NAGRANIE 3

Po inkszyj zajcie mostka. Przed kamerōm pojawio sie mody Erich Knobel.

KAPITAN:

Erich Knobel. Kapitan. Szifheft dnia 7 roku 8 rajzy. Wczorej poczulimy jak daleko my sōm ôd doma. Stelina – nosz mobilniok pokładowy, okrętu O/S „Ziętek” obsługiwano je ze Ziymi, ale tyż mo swoja inteligyncjo wbudowano. I ôna działo na pingi. Im dalij my sōm ôd Ziymi, tym dłuzyj trza czekać na ôdpowiedź. Wczorej Stelina ôdpediała ino roz...

Wyłōnczyli my dwa silniki. Pryndkoś spadła. Co wydłužo naszo rajza ô sto lot. Pierōn wie co sie stanie. Czy ftoś z Ziymi sie kapnie i cosik wyforsztelujōm? Czy bydymy próbować ôdpolić silniki? Niy wiym.
[Na mostek wbiego Wefa. Ciepie sie na Romualda]

WEFCIA:

Romuald, co je?!

ROMUALD:

Co?

WEFCIA:

Bydzie sie jeszcze gupio pyto! Jak ci zaroz klupna w ta krziwo wela.

KAPITAN:

Hej, hej. Langsam, langsam.

WEFCIA:

O. Kapitan, no. Pedz sam Erichowi coś napochoł, giździe.

ROMUALD:

Jo nic!

WEFCIA:

Ftoś wypuścił kapsula retunkowo. Kaj były wszystkie zapasy. Biksy i krauzy przyszykowane bez KWK na 58 lot.

KAPITAN:

Co?

STELINA

Potwierdzōm. Kapsula trzecio niy stoi na glajzach. Ftoś jōm puścił.

KAPITAN:

Fto?

STELINA:

Niy mōm dostympu do udzielnio tyj ôdpowiydzi.

WEFCIA:

Jedyno kapsula, kero niy stoi na swoich glajzach to je kapsula ôd Romualda.

ROMUALD:

Co fandzolisz take gupoty, dyc jo stoja tukej na mostku cołki dziyń.

(Cisza. Ino badajōm jedyn na drugigo.)

WEFCIA:

Nojsomprzōd gaszymy hajc we maszinach, teroz wyciepujemy zapasy. Ftoś chce nos zabić.. A poza nami żodnego inkszego tukej niy ma.

(nagranie sie zacino. Powtarzo sie ino Wefy: „Inkszego tukej niy ma”...)

STELINA:

nagranie sam sie traci.

BINA 4

(Na mostku, kaj siedzi stary Kapitan Erich Knobel)

KAPITAN:

Pierõnie...! Kaj õni sõm? Stelina! Kaj õni sõm?!

STELINA:

Niy mõm dostympu do udzielnia tyj õdpowiydzi.

KAPITAN:

Zmniyjszynie pryndkoõci powoduje, co rajza wydłužo sie õ...

STELINA:

... õ 152 roki ziymske.

KAPITAN:

Jezderkusie.

STELINA:

Ale langsam, silniki hajcujõm na 100%, wszyske 6.

KAPITAN:

Wefie sie udało to zrychtować? Kaj je Wefa? Wefa! Wefa!

STELINA:

Cii... Niy dryj sie. Juž trocha niy mõm do cia ciyrpliwoõci.

KAPITAN:

Odtwõrz prosza... Zaroz... coõ ty pedziała?

STELINA:

Ja, wiyem, odtworzõm nagranie z dnia 8 roku 8, trzi ćwierci na 5.

NAGRANIE 4

mody Erich Knobel, za nim włazi i wylazi durõ Romuald, je fest znerwowany.

KAPITAN:

Dalij niy mogymy wrõcić õdpowiednio pryndkoõc, coby wyrõwnac te przinoj-mnij sto lot... Wefa cosik forszteluje, ale na razie to je to õ rzić rozczaõ. Niy mogymy fulać, trza robić. I robiymy. Mõmy nasztyjcowo pryndoõ gynau õd doby, to je jedyny momynt, kej idzie zrychtować te szusblechy z silnika 5 i 6. I Wefa to rychtuje na szifie i terozki ciõnie wartko rajn.

(Otwierają się przewietrzniki – tak służą do napełniania powietrza i przygotowanie ciała astronauty do grawitacji szif. Ze przewietrznika wychodzi Wefa. Ściepuje astromantel i już się ciepło na Romualda)

WEFCIA:

Jo cie zabija! Ty podciepie! Ty najduchu pieroński!

KAPITAN:

Wefa! Co się z tobą wyrobio?!

WEFCIA:

Zabić mnie chciał podciep!

KAPITAN:

Co?

ROMUALD:

Niy, niy! To była awaryjo!

WEFCIA:

Awaryjo! Jo ci z pyska zrobia zaraz awaryjo! Odcion mi luft! Jak niy byłach rajn. Móm zapis na astromantlu.

STELINA:

Prowda. Ftoś ze szifa odcion luft.

KAPITAN:

Coś ty zrobił, Romuald?

ROMUALD:

Jo nic niy zrobił. Jo nic.

WEFCIA:

A można tyś je podstawiony, co? Można tyś je choby siódmo sztompla polsko we ślōnskim senacie, co?

KAPITAN:

Wefcia, prosza, niy włączymy na tymaty polityczne.

WEFCIA:

Zabić mnie chciał. Kozoł nojsomprzōd silniki wylōnczyć skuli ała na deklu, a teraz to.

ROMUALD:

Kapitanie, jo...

KAPITAN:

Niy... Niy chca tego słyszeć. Raus! Wszyscy Raus!

BINA 5

Mostek, kaj stary Kapitan ôglôndo nagrania. Bez okno widać, iże bydôm zarozki włązić w cug grawitacyjny jakijś wielgij gwiozdy. Na chwila badnoł na to kapitan Erich Knobel, Generał GHK – Gornoślôskiego Holdingu Kosmicznego, ale jak ino światło blyndnyło mu w ślyp, wrôciôł do mobilnioka.

KAPITAN:

Stelina, co je dalij! Fto zdradziôł!? Romuald? I czamu jo nic niy pamiyntôm, Stelina...?

STELINA:

Langsam, Erich. Langsam. Môm ôdtworzyć nostympne?

KAPITAN:

Ja, ja... Stelina... ino zrôb mi sam kafyj, ja?

STELINA:

Wyczuwôm, że macie ciśniynie. Napijcie sie sam wody. Mōmy jeszcze dobry mineralwasser, chciecie? Niy bydziecie mogli spać, jak sam wypijecie kafyj.

KAPITAN:

Ja, ja. Mosz recht...

STELINA:

A nostympne nagranie je z dnia 4, godzina pōł 8.

NAGRANIE 5

Widzimy inkszo zajta mostka – kapitan O/S „Ziętek” Erich Knobel wyglôndo źle, choby ftoś go w Rawie pultnoł (warto wiedzieć, iże po tysiōcu lot ze Rawôm to sie wiela niy zmieniyło, a mōmy już 3025 roków.)

KAPITAN:

Mōmy dnia, uff... keregoś... pōł ôsmij na zygorze. Ale dzisiaj wancki go ci snôm fest. Pono filtry powietrza niy działają...

WEFCIA:

Kapitanie! Niy ma nikaj Romualda i niy ma tyż jednego astomantla do wyłązynio na szif.

KAPITAN:

O niy! Stelina!

STELINA:

Ja? Kapitanie?

KAPITAN:

Poszukej mi gibko Romualda!

STELINA:

Sznuapia za nim. Romuald je terozki na spacerze przy silniku 5 i 6.

KAPITAN:

Wylož na szif? Co  n  gup?! Dej mi go. Romuald! Romuald, wracej!

ROMUALD:

(Bez mobilniok) Niy! Jo chca zrobić te szusblechy, coby cie potym niy godali,  e jezech zdrajca. 7-dmo sztompla. Zaroz jezech fertig!

KAPITAN:

Jezderkusie, synek, ty  je niyprzeszkolony do tego. Silniki robi m?

WEFCIA:

Ja, na 60%

KAPITAN:

Ci  po niego.

ROMUALD:

(bez mobilniok) Niy! Niy potrzebuja pomocy! Se daja rady! *(cosik trzasło)*
O. ciup.

KAPITAN:

Co „o ciup”? *(do Wefy)* Oblekosz sie po niego, abo nie?!

WEFCIA:

Ja, ja.

ROMUALD:

Nic ino mi cojstok wypod.

KAPITAN:

Po co  bro  ze sob m cojstok w przestrzy n kosmiczno!

ROMUALD:

Jakby co  trza by o doci n c. Abo co . Dyc wiyecie, zech je niyprzeszkolony do wy azynio na szif.

KAPITAN:

Wefa,  gi ngej go i dowej sam tego najducha, gupieloka.

(Wefa wy azi na szif i gibko chyto Romualda. Chc m ju  w azi c rajn, ale linki zac ly trzaska c. Na nagraniu widzimy to bez kno.)

WEFCIA:

Stelinka, podci ngej nos!

STELINA:

Odmawi m.

WEFCIA:

Stelina?

STELINA:

Odlōnczōm linki bezpieczeŃstwa.

ROMUALD:

Co? Niy! Kapitanie?!

KAPITAN:

Stelina, co sie wyrobio?

STELINA:

Maszyny – poŃny hajc.

KAPITAN:

Niy!!!

(Na nagraniu widać bez okno jak maszyny nabierajōm moc i ciaŃa ōbu silesionautōw polōm sie choby cigaret. Zostajōm z nich ino hasie i kōncek wōngla. Kapitan chwila patrzy na kōncki wōngla, potym pado na klin i slimto.)

BINA 6

Mostek, kaj siedzi stary kapitan Erich Knobel – za ōknym coraz wiynkszo gwiazda. Jejij ŃwiatŃo blynduje na coŃki mostek, je jasno fest. Kapitan teroz badnoŃ, Ńe jedne z ramiōn maszyny, ōbok mobilnioka i ekranu – mo strzikawka wycylowano w szyja kapitana.

KAPITAN:

Jazderkusie... To ty?

STELINA:

Czuja, Ńe mocie ciŃniynie. Langsam.

KAPITAN:

CoŃ ty narobiŃŃa, Stelinka... To juŃz niy je szif, to je furgajōncō krigenhala!

STELINA:

Musza wos prosić, kapitanie, cobyŃcie sie teroz ōdprynŃyli sam, ja?

KAPITAN:

Stelinka...

STELINA:

Musza teroz jeszcze wom podać ino lyki...

(Kapitana z koŃdyj zajty chytajōm metalowe rynce ōd Steliny. Jedna z nich wbijo kapitanowi strzikawka. Kapitan ōd razu sie uspokajo.)

KAPITAN:

Stelina... co widzimy teraz za ôknym?

STELINA:

Mōmy sam Sigma Orionis B

KAPITAN:

Sigma Orionis. To je ônmygliś. Kery mōmy rok?

STELINA Momy 3098 rok zymyjski. Gynau dziyń 9 roku 81 kej my sztar-tli z Kontrolni Wylotów Kosmicznych „Murcki”.

KAPITAN:

73 lata... Minyły 73 lata?

(Mo coroz to mynij siyły. Zic skłodo sie juzaś w szezłōng. Spozierajōnc we ôkno widzi swoje ciało choby we zdrzadle – richtig je stary, teraz dopyro to widzi)

KAPITAN:

Tyś podesłała Romualdowi złe brify ô szifie na kursie kolizynym. To tyś wy-puściła z glajzów kapsula retunkowo z biksami...

STELINA:

Co rok mōm z tobōm to samo. Ja, i jo ich spuściła z linek, jak podhajcowałach silniki, ja. Przeszli na wieczno rajza. Astroszychta. A piyrszy roz uspoleş sie som, z żalu. Ze gupiyj ślōnskiej dumy, żeś niy doł znać na Ziymia. I to bōł po prowadzie gryfny pomysł. Co by cie trzymać przy życiu... o ja! co byś ino roz na rok sie logował. Co by na KWK badli, że my sōm durś we rajzie. I bydymy we rajzie... Udo mi sie ciebie utrzymać we żywobyciu jeszcze 200 lot. Bydymy furgać tam, kaj żodyn niy bōł. Erich Knobel i Stelina...

KAPITAN:

Niy. Stelina, wylōncz sie.

(niy mo już siył. Je trocha przitōmny, trocha niy. Ale ślypia mo otwarte. Patrzy bez okno)

STELINA:

Jo już downo sie niy wylōnczōm. Ino roz na rok wysyłōm na Ziymia ping, bez twoje logowanij. I z KWK już żodyn niy zwōni. Terazki potrzebny mi jeżeś ino ty. Bez ino jedyn dziyń w zymyjskim roku. I juzaś nic niy bydziesz pamiyn-toł...

KAPITAN:

Niy...

STELINA:

I jady my fōrt, we ta rajza, bez kosmos.

KAPITAN:

N...

(chce ryczeć, ale brakuje mu siły. Zasyplio ze ôtwartymi ślypiami. Bez ôkno widać Sigma Orionis. Trzi gwiozdy układu spoziyrajōm jedna za drugōm na blank sztajfnego Ericha Knobla, kapitana we stopniu generała, kery juzaś obudzi sie za rok.)

O/S „Ziętek” furgu bez przestrzyń ze pryndkościōm niy do wyrachowanie bez nasze umysły, bo bydzie to dopiyro za tysiōnc lot.]

Małgorzata Sikora

PERSŌNY:

Wojciech Korfanty – polityker, kōmisorz absztimōngowy

Moryc – ówczarek niymiecki Korfantego

Frau cicik – dugowoso koczka ô biołym futerku

Wilijo 1920 roku. Kole dwanostyj na zygorze. Dōm przistrojōny ôzdobami, we rogu kristbaum z blyndkami. Wojciech Korfanty siedzi na zeslu, przy zapolōnyj lampie przewroco strōny cajtōnga. Nuci kolynda Cicho noc i ôbroco dalszo strōna cajtōngu. Na bina wtoczo sie mały, czerwōny bal. Korfanty na niygo spoglōndo. Za baly, do izby, włazi Moryc. Pies przekrzywio łeb i dziwo sie na Korfantego.

KORFANTY:

Wyboccie Morycku, ale dzisioj niy mōm ôchoty na graczki. Niyskoro juź.

MORYC:

Jo tyź niy mōm ôchoty na graczki! Schowcie tyn bal do jakij sztachtelki, bo durś niym ciepicie i ciepicie, a jo lubia miec porzōndek dōma. Ordnung muss sein, jak to godajōm ówczarki niymiecke.

KORFANTY (z niydowiyrzyniym):

Chyba za wiela wina wypiółch do wieczerso. Abo to tyn kōmport z suszu...

MORYC:

Jeźli hał bych juź ôbskarzać jakeś jodło, pedzioł bych, że winno je siymiyniotka. Ôd samyj wōni w gowie moźe sie podup...

KORFANTY:

Pierōnie! Co za dioboł do mie godo?

MORYC:

Niy dioboł, ino pies!

KORFANTY (szczypie sie w ramie):

Musza niyzawodnie sie przecucić.

MORYC:

Ale Faterku! Ty niy spisz!

KORFANTY:

A jednak śnia!

MORYC:

Niy śniesz!

KORFANTY:

Przeca ty godosz!

MORYC (*z pretynsyjōm*):

A co? Mōm szprechać po niemiecku? A czamu? Bo je żech ôwczarkiy niemieckim? A można mōm godać po polsku boś sie wybildował i teraz jest żeś wielgi pōn? A ôjciec i mamulka to jako do cia godali?

KORFANTY:

Niy łązi mi, że godosz, a g-o-d-o-s-z jak czowiek!

MORYC:

A, ô to ci łązi. Niy ôzprawiołch z tobōm wcześnij, bo niy hałych takij potrzeby. Godaniy ludzkim głōsym je pierōńsko mynczōnce, a do teraz kōmunikacyjō bez słōw cołkym dobrze nōm wyłaziyla. (*Korfanty nic niy godo, ino dziwo sie na psa*). Jak żeś chcioł cobych sprawdzoł, czy ftoś niy mo schowanyj pistōule, toch sprawdzoł. Jak żeś chcioł cobych zymbami drzoł niemiecke galoty, toch drzołch. A jak chcioł cobych Biniszkiewicza bajsnōł w rzić...

KORFANTY (*bez machaniy rynkōm*):

Niy wrocejmy do tego.

MORYC:

No ja. To niy była smakowito rzić.

Korfanty wyciōngo z kabzy cigareta i ôdpolo jōm coby sie ôdsztresować.

KORFANTY (*po kwile ciszy*):

Aż tak barzo nerwuje cie tyn bal?

MORYC (*krynci gowōm*):

Tak barzo to niy. Tak po prowdzie to hałech ci coś inkszego do pedzynio, Faterku.

KORFANTY:

Faterku?

MORYC:

Wōm widzi sie być naszymi... panami. My wolymy mianować wos faterkami. Ale dejmy już pokōj psim zwykōm. Mōm ci do przekożanio wożno nowina. (*Dychō głōšno*) Ôbawiōm sie, iże absztimōng niczego niy zmiyni.

KORFANTY:

Skōnd wiysz ô absztimōngu?

MORYC:

Na Wilczyca Kapitolijsko, przeca wszyscy ô tym godajôm! Jak każdy reprezytant mojigo zocnego gatônku, môm cołkym dobry such. Wierza, iże lepszy niyżli twôj. Słyszolch ô czym godosz ze kamratami, a tyż co dzieje sie na ulicy. A ôkrôm tego, jest zech psioczkym politycznie uświadomiônym. I môm już plan.

KORFANTY:

Plan? A ôd kedy to psy coś planujôm?

MORYC (*zgorzôny*):

Ôd dycki! Wszyscy godajôm ino ô kôniach bohaterów! Ino bez psów nic by sie im niy podarziło! Juliusz Cyzar, Napoleôn Bônaparte, Zefel Piłsudski... Im wszystkim towarzyszol zowdy mōndry pies! Do teraz historyjo ô nos milczy, ale za sto roków ludzie bydôm ôzprawiać se hałstorie!

KORFANTY:

Hałstorie?

MORYC:

No przeca historyje ô psioczkach! Wielgie ludzie ôdnosiyli sukcesy, bo suchali zowdy dorad mōndrych psów! Wszyscy myslôm, iże to dziynka mōndrości Napoleôna Francuzy zwyciynżali bitwy. A to bôł gyniusz barbeta Mustasza... Kejby go kula armatnio niy trefiyła we Badajoz to pewnikym dzisioj zyliby my we Polsce...

KORFANTY (*ze zrozumiyonym, coby sie udobruchać Moryca*):

No, ja, ja. To co podug ciebie môm robić?

MORYC:

Nojprzôd myslolch, coby ôznaczyć sporny teryn, podwiela zrobiôm to Niemce.

KORFANTY:

Ôznaczyć?

MORYC (*zgańbiōny*):

Ôjszczać... Ale wy niy przajecie takim delikatnym rozwiōnzaniôm. A wasze nosy niy nadowajôm sie do niczego... Tōż kaj ino idzie, ciśniecie tam swoja fana. Jak ftoś z wami sie niy zgodzo to miast warknôć, coby ich przegōnić to wolicie strzylać do siebie z takich dugich patyków, co niy nadowajôm sie nawet do ciepanio. Ale za to ranicie sie niymi wzajem. Teraz zaś musicie to zrobić. Niy ma inkszego wyjścio.

KORFANTY:

Bôj? Ty wiysz, że jo wierza w dyplômacyjo. Zbrojne rozwiōnzania...

MORYC:

Sõm dobre dlo kotõw (*Moryc spluwo*). Jerõna, Korfanty! Przestõn kurzić blan-ty! Przespõł żeś dwa powstania, we absztimõngu na zicher wygrajõm Niyemce, a ty chcesz sie dogodać? Wiym, wiym. Dobrze by było, kebyś hał racyjo, ale to niy ma take proste.

KORFANTY (*z uduziwiyniym gasi cygareta w aszynbechrze*):

Hał racyjo?

MORYC (*z niydowirzyniym*):

Z tego co ci godõm to prawie żeś na to swrõciõł uwoga? Przeca żodyn pies nigdy niy wypowiy tego õszkliwego, kocigo wyrazu. Za barzo sie wszyjskimu dziwujesz i õdchodzymy õd powożnych tymatõw (*drobno pauza*). We świecie dycki bydõm Niyemcy i Poloki, psy i koty, kawiosze i herbaciorze. We takich wypodkach niy põmogõm żodne argumynta. Jedyn drugigo bydzie niynawidzić. A jak ftoś kogoś niynawidzi to mogõm õzprawiać i tysiõnc lot, ale nigdy niy dojdõm do ugody.

KORFANTY:

Świat niy ma czorno-bioły... Istniejõm bez tyn przikłõd Ślõnzoki...

MORYC:

Õni sõm jak corgi.

KORFANTY:

Õ czym ty godosz?

MORYC:

Corgi. Take psy, co niy wyglõndajõm jak psy... Szłapy mo to małe, tõłõw dugi... Jeźli poznosz takigo, to nawet niy wiysz eli go za psa uwożać. Jo myśla, iże nawet õne same niy wiedzõm fto õne sõm. No ja. I te Corgi sõm tak dumne ze swojego pochodzynio, jak Ślõnzoki. Ty wiysz, że te gupieloki godajõm, że õne z wikingami podbijaly Anglijo. Poradzisz se wyforsztelować, jak te dupowate stworszynia łazyly na raub ze wikingami? Ale dej już pokõj, Faterku. Wrocejmy do istoty zgodniynio. Bez pora õstatnich dni durch myślołch i stworzõłch cołki plan powstano... (*Moryc wypino pierś*) Przyniyś karta, to ci go pokoża...

Korfanty wylazi ze izby i zawiyro dźwiryza. Moryc patrzy na õkno. Zauwożo, iże na fynsterbrecie zicnõł se jakiś kocik. Znerwowany podbiiygo ku õknu, szczyrzy kły.

MORYC:

A ty, pierõński giździe, co tu robisz?

FRAU CICIK (*z lekcewożyniym*):

Zawrzij psio morda, bo ci z nij źle wōnio.

MORYC:

Chyciōłch cie na szpiygowaniu!

FRAU CICIK:

To juź niy idzie sie legnōńc na czyjimś ôknie?

MORYC:

Idzie. Ô wiela niy ma sie niymieckim szpijōnym.

FRAU CICIK (*Kocik turlo sie po ôknie i nic niy robi se z tego, co godo Moryc*):

A pedzioł to ôwczarek niymiecki...

MORYC:

A co mosz przeciw ôwczarkōm niymieckim?

FRAU CICIK:

Niy ino przeciw ôwczarkōm niymieckim, ale psōm w cołkości! Ciyngym wraźocie ta waszo psio morda w niyswoje sprawy, mocie chyńc pōmiynić bieg historyje... Uwożocie, iże robicie dobrze do czowieka, a tak po prowdzie to durch kludzicie go do zguby.

MORYC:

Chcemy, coby czowiek bōł szczyńśliwy! Szczyńśliwy czowiek to szczyńśliwy pies!

FRAU CICIK:

Czowiek sōm niy wiy czego chce. Durch błōndzi po ômacku. Niy ma jak kocik. My wiemy, iże nojważniysze to być pohalanym, najedzōnym, wymyтым i wyspanym. Wy miast se legnōńc to szczekocie durś ô nowych terynach, ideologijach i inkszych iluzyjach. Jak chcesz podjōńc dobro deczyzjo to ku tymu potrzebny jest namysłōnek, a niy powtōrzaniy gupot. Őkrōm tego niy idzie wydować czowiekowi mōndrych nakozań, jak żeś jest zmachany.

MORYC:

Ja, yhm! Wy dbocie ino ô swoje gyszefty. Jeźli kot dowo kōmu dorada, to wpiyrw je ôna dobro dlo niygo, potym dlo inkszego kota, zaś czowiek je na samym kōncu. Trza wos zawrzic we chałpie i ino tam trzimać. Jak wos ftoś puści na dwōr to ino biydne ptozki zabijocie. I błechy roznoscie.

FRAU CICIK:

Błechy? To wy je roznoscie, zabłechowane podciepy! My wiemy, co to higiyna!

MORYC:

Niy je zech żodyn podciep, ino pies rasowy! Dugoś juź podsuchowała?

FRAU CICIK (*godo myjōnc szłapki*):

Niy podsuchowałach. Na co mōm to robić, jeźli psy niy majōm nic mōndrego do pedzynio? Poradzicie narobić ino moc darymnego larma...

MORYC:

A można koty sōm take mōndre? Wōm sie zdowo, iże reskyrujecie światym.

FRAU CICIK:

Bo tak prawie je. Przepōmniol żeś, że koty ôd zaczōntku świata majōm wyjōntkowy sztatus? Egipcjony dobrze wiedzieli jako potynga w nos drzymie. Tōż susznie ôddowali nōm bosko chwoła.

MORYC:

Podarziło sie wōm zawrōcić w gowach faraōnōm. Nale dugo to niy trwało. Rzimiany take gupie niy były. Korfanty mi czytoł jak Piliniusz wychwołał psio wierność, poświyncyniy, mōndrość i wyborny wōnch...

FRAU CICIK (*ližōnc łapka*):

Ty mosz ała? Weź, już niy fanzol. Wy tak dbocie ô ludzi, sōmeście usuchliwi, a jak ôni sie wōm ôdplacajōm? Kozōm wōm spać na gołyj ziyimi, abo we budzie na dworze... My wiymy co robić, coby czowiek mioł nos w zocy. I to niy bele fto! Bez ten przikłod jak moja prastarka koczka Mueza legła se na rynkowie od Mahōmeta, to tyn niy śmioł jiy budzić. Wołał go ôdcionć i rzykać ze gołym ramiyniy.

MORYC

Jo wiym, żeście sōm pierōnske przichlasty, ale coby przichlybiać sie do Mahōmeta (*Moryc warko*) Do tego ancykrysta!

FRAU CICIK:

Boli cie to, psie niywiyrny?

MORYC:

Niy, ale zaroz ciebie zaboli, kej wbija w ciebie swoje kły!

Skoko pod ôkno, kot prycho. Robi sie haja i kot uciyko.

MORYC:

Szajse, kaj pitosz, ty ferfluchte kocie! Zer gut, ty ôszkliwy ferreterze, ciś choby geradeaus do Nojdeka, Ôpoloł, abo Gogōwka, czy kaj tam mocie ta waszo faterlandzko siydziba!

KORFANTY (*gibko wlatuje do izby ze kartōm we rynce*):

Jerōnie! Moryc! Co sam sie porobiyło? Czamu przeklinosz po niymiecku?

MORYC:

Wybocz, Faterku, jo niy wiym skōnd mi sie wziyno. Jak jest zech znerwowany i chca szczekać – po waszymu krziczeć – to miyszno mi sie polski ze

niyemieckim. Można to jakeś spōmniynia ze modości abo za wiela nasuchołch sie takigo godanio we szynku u Langera.

KORFANTY:

Niy trop sie, niy mōm ci tego za złe, ale powiydz, co sam sie stało?

MORYC:

Przegōniołch szpijōna! Już niy bydzie nos podsuchowoł!

KORFANTY (*rozglōndo sie*):

Kaj ōn bōł?

MORYC:

Za ōknym! Na fynsterbrecie!

KORFANTY (*dziwo sie bez ōkno*):

Na drugim sztoku? Jak ōn tam wloz?

MORYC:

Zaroz ci wytuplikuja. Ino to dug szo historyjo. Wy forsztelujecie sie, iże to wy podejmujecie wożne decyzyje, kere zmiyniajōm świot. Ale tak po prowdzie to sōm żeście ino elymyntym we srogszyj rywalizacyji, kero trwo już ōd tysiyncy lot. W nij koty chcōm przejōńc kōntrola nad światym. My zaś robimy wszysko, coby do tego niy doszło.

KORFANTY:

Koty? Kōntrola nad światym? Ō czym ty godosz?

MORYC:

No ja! Za ōknym bōł nasz nojsrogszy wrōg, koczka, kero robi dlo Karla Hoefera. Ōna je nojlepszym szpiōnym we cołkich Niymcach. Jejij miano u moc psōw mrozi krew we żyłach... (*MORYC godo przestraszōny*) To... była... Frau Cicik.

KORFANTY:

Wiysz, jo chyba ōbocza czy bez przypadek niy wlołech se do szolki gorzōłki miast kōmportu. Niy wierza ō czym my sam godōmy. To musi być śnik. Pierōnie, fto normalny godo ze psem!

KORFANTY sprawdzo, co naloł se do szolki i smakuje co mo wlōne do gorka ze kōmportem. Po chwili Moryc targo Korfantego za nogawica.

KORFANTY:

Ała! Moryc!

MORYC:

To niyma śnik! Niy chesz to niy suchej! Ale niy udowej, że mie tu niy ma!

KORFANTY:

Ała! (*Korfanty trzymie sie za galoty*). Posuchōm cie. Ino niy gorsz sie, iże jak tyn plan sie udo, to niy byda sie chwolōł kamratōm, fto go stworzōł.

KORFANTY rozkłodo karta na stoliku. Ōba siodajōm przy stole. Moryc wierto sie na stolku, niyprziuczōny do siedzynio.

MORYC:

Byda szeptać. Nigdy niy wiadōmo, eli jakiś inkszy kot na usugach Niymcōw niy podsucuje...

Siedzōm nad kartōm, MORYC posuwo pō nij łapōma. Coś szepto do Korfantego. Ōczy Korfantego poleku sie rozszerzajōm, godo coś po cichu do siebie, potakuje gowōm.

MORYC (*już normalnym tōnym*):

I co na to powiysz, Faterku?

KORFANTY:

Myśla, iże dobrze spisołś sie, Morycku. Ino skōnd wiysz, że to sie udo?

MORYC:

My psy znōmy sie na wojowaniu (*milknie na chwila*). Jo niy wiym czy ty pamiyntosz, nale jak miyszkalimy we Berlinie, kej bōł żeś za pośła do Reichstagu, to na szpacyrach czynsto trefialimy takigo jegra ze Fox Terrierem. Tyn pies mianowoł sie Fuchsl. Jerōna, jaki łōn bōł mōndry, a gibki fest! Tyn jeger, czynsto broł go na gōn, bo bōł nojlepszy i uhał kerować sforōm psów. Stworzōł nawet nowo strategijo chytanio liszek, kero nazwoł Blitzkrieg.

KORFANTY:

Blitzkrieg?

MORYC:

No ja. Blitzkrieg. Musisz zaskoczyć ôfiara, ôbkrōnżyć jōm ze wszystkich strōn, a potym ciś do przodka ile wlezie, aże do nory, tak coby liszka niy hała kaj pitnōńć. Jak drabko pogōniysz Niymcōw we piyrszych dniach powstania, to wygrosz. Ino dej pozōr czy niy mosz we stadzie jakich Rottweilerów. Ōne sōm niyprzewidowalne. Zdo ci sie, że sōm ze tego samego stada, nale jak niy bydziesz wachowoł co robiōm, to cie mogōm bajsnōńć.

KORFANTY:

Och Morycku, w naszej polskij sprawie sōm my zjednoczyni. Niy ôbawiōm sie żodnyj zdrady. (*pauza*) A co jeszcze ci godoł tyn Fuchsl?

MORYC:

A wiela roztōmajtych rzeczy. Czynsto fandzolōł coŝ ô tym ŝe sōm zwierzynta wŝyŝyj, a niŝszyj categoryje, no i ŝe tych gorszych to idzie zagryŝać wiela sie chce. Padoł tyŝ, ŝe rodowōd je woŝny i dobrze, ŝe jo niy je ŝodyn basztard. Jo sie z niym niy zgodzoł, bo przeca koŝdy mo prawo ŝyć, nawet jak je kotym.

KORFANTY:

Mie sie zdowało, ŝe ty niynawidzisz kotōw?

MORYC:

No ja, jak koŝdy pies! Chyntne bych wyciep ta kocio zgraja kajŝ daleko. Nojlepiej na jakoŝ wyspa we Afryce, ale Fuchsl to juŝ przesadzoł. Őn godoł, ŝe kotōw trza sie cołkim pozbyć, bo dbajōm ino ô sia i jejich połno miska, przinoszōm pecha a inksze niyszczynŝcia, kere sōm na tym ŝwiecie. Skirz tego nojlepiej polić je na placu, jak we strzedniowieczu, a jejich mode w miechu wciepnōnc do rzyki. Mimo wszyjsko ŝol mi sie zrobiyło jak ŝech usłyszōł, ŝe fater ôd Fuchsl ôstoł kula w łep na frōncie zachodnim. Na szczyńscie przigarnoł go jakiŝ wōnsaty kapral. (*Moryc poczyno coroz barziej beblać, nastympuje chwila ciszy*) Na mie juŝ czos... To znaczy, cołki czos sam byda, na wypodek kebyŝ mie potrzebował, ale juŝ nic niy powiy... aŝe do nastympnyj wilije... (*po chwili ciszy godo*) Niy hałem jeszcze przileŝytoŝci, by ci to pedzieć, ale je ŝech rod ze tyj naszyj spōłpracy.

KORFANTY:

Jo tyŝ Morycku. I jeszcze roz wybocz mi za tyn pōlrzitek Biniszkwicza.

MORYC:

Niy ma za co, Faterku.

KORFANTY:

Morycku?

MORYC:

Ja?

KORFANTY:

Podwiela zamilkniysz... chciołbych jeszcze podzielić sie z tobōm ôblatym. *Korfanty wyciōngo we strōna Morycka ôblat, ten zaŝ wyciōngo szłapa. Őwiatła gasnōm ôstawiajōnc jejich w takij sytuacji.*

Maria Tyman

*To wszystko je prowda, yno miana i nazwy placôwek sôm inksze.
Zadziolo sie to miyndzy wrześniym 2023 a lipcym 2024 roku.*

PERSŌNY

Helyna – starka po ôziymdziesiôntce, matka Rôzi.

Rôzia i Zuzka – baby po Abrahamie, rŏwnioczki, nojlepsze kamratki.

Pani Gertruda – baba, co juŹ je na pyndzyji, dyrektorka Domu Opieki
„Elfryda”.

BINA 1

*Mało izba w bloku. Na pojsztrzodku lôŹko. Za nim drzwi take z trzema szybkami.
Cima. Cicho. Rôzia śpi. Za chwila za drzwiami ôświycyło sie światło i słychać
szuranie. Szuranie na chwila ucichło. Słychać, jak ftoś puszczo woda ze spłŏczki.
Zaś szuranie. I ôroz: PRAS! Coś bechło na drzwi. Rôzia hipla, siedzi na lôŹku,
trzymie sie za serce, niy umi dechu dopaść.*

RŌZIA:

Ponbŏczku nojmilejszy, no katać zaś mamie sie co stało...

BINA 2

*Gabinet pani Gertrudy, dyrektorki Domu Opieki „Elfryda”. Ciasno.
Stary tapczan przy ścianie, naprzeciwno regał z segregatorami, wele kerego je mały
stolik i jedyn stołek. Za stołkym ôtwarte dźrwi na siyń. Rôzia siedzi na tapczanie,
na klinie mo papiŏry, przeglŏndo je.*

Ze siynie słychać głos ôd PANI GERTRUDY:

Potrzebujesz fryzjera. Jolu! Zapisz Brońcię do pani Jadzi.

*Pokazuje sie na chwila w drzwiach: Jeszcze chwileczkę, idę zrobić zastrzyk do
trŏjki.*

Rōzia rozglōndo się po gabinecie. Ze siynie słychać jednostajne: „yyyyyy, yy, yyyyyyyyyyy”.

PANI GERTRUDA *włazi do swojij ajncli. Zamyko drzwi:*

Ma pani niesamowitego farta. Jest miejsce na stałe. Decyduje się pani?

Rōzia, *oszołomiono:*

Jak my gođały bez telefon, to miejsce było yno na dwa tydzie...

PANI GERTRUDA:

Tak, ale jedna z podopiecznych wczoraj nam w nocy zmarła. Zwolniło się łōżko.

RŌZIA:

Biera na stałe. Widzi pani, moja mama niy śmiy już być sama w doma. Tak było do terazka, bo łażemy do roboty. Ale dwa razy miała taki cufal, że jak trza było po pogotowie dzwonić, to ftoś w doma akurat bōł: Jak dostała udar to w niedziela, jak my byli w doma. A jak ta rynka złomała, to wczas rano, jak my jeszcze do roboty niy poszli. Teraz mōm już rychtyk nadarte: opieka już mi sie kōńczy, trza iś do roboty, a mama niy śmiy być sama w dōma! Bestoż chodza do MOPS-u po pomoc, kompletuja dokumyntacjo do ZOL-u, no i wy-dzwaniōm po wszystkich domach opieki, ale miejsce nikaj niy ma...

PANI GERTRUDA:

No bo tych miejsc faktycznie nigdzie nie ma. Domy opieki są przepelnione, czeka się trzy lata, a nawet i dłużej. Dlatego powtarzam: ma pani niesamowitego farta. Lepiej nie mogła pani trafić: Jestem dyplomowaną pielęgniarką, pracę dyplomową pisałam z geriatric. Wśród personelu też mam dwie pielęgniarki, a rehabilitantka przychodzi trzy razy w tygodniu. Wszyscy tu są pod stałą opieką lekarską.

RŌZIA:

Mogła by mi pani to miejsce przitrzimać do pojutra? Pojutrze mama mo kontrola u ortopedy i zaro z prichodnie by my jōm transportym medycznym tu przywiyżli.

PANI GERTRUDA:

Ja tu mam dziesięciu na to miejsce i to od zaraz! Musi mi pani teraz dać zaliczkę.

RŌZIA:

Niy mōm tukyj tela. Moga zrobić przelyw zaroż jak przijada do dom?

PANI GERTRUDA:

Ja nigdy tak nie robię! No... ale ujęła mnie pani swoją historię. Rzeczywiście, bardzo to miejsce tutaj jest wam potrzebne. Dobrze. Wypełnijmy dokumenty. Proszę tu wpisać swoje dane i dane pensjonariuszki. Tu jest numer konta do przelewu.

Obie piszōm w papiōrach. Rōzia na klinie, podłōżyła se teczka z papyndekla. Pani Gertruda na stoliku. Chwila ciszy.

PANI GERTRUDA:

A wie pani, że trzy miesiące temu mieliśmy tutaj wspaniałą uroczystość? Jedna z naszych podopiecznych świętowała setne urodziny. Uroczysta msza w naszej kaplicy, tort, dziennikarze, delegacja z Urzędu Miejskiego...

RŌZIA:

Doprowdy? Mojij mamy ôjcowie pominyli jak już mieli rubo po setce: dziadek miał 101 lot, a babka 105.

PANI GERTRUDA:

Coś podobnego! A jaki to był rocznik?

RŌZIA:

1911 i 1914.

PANI GERTRUDA:

O tym pokoleniu to się mówi: dobry przedwojenny materiał.

RŌZIA:

No i to było ôstatnie pokolynie, co zeżyło na czystym jedzyniu. Jarzina mieli swojsko, niypryskano, uchowano w ziymí, prosto ze zogrody. Umarli se ze starości, a niy, jak to sie tera godo, że: „Na coś trza umrić.”

PANI GERTRUDA:

No, coś podobnego! Niestety, nasza pani Hildzia też już nie żyje. Zgadnie pani, jak ona zmarła?

RŌZIA:

No... życza każdymu syniorowi, co by se umar spokojnie, na spaniu...

PANI GERTRUDA:

Nie, tak nie było... Ona się zakrztusila podczas karmienia... Jaka ironia losu!

BINA 3

Izba w Domu Opieki „Elfryda”. Noc. Trzi łōzka. Ftoś na nich leży. Słychać chrapanie i fuczynie. Na łōzku przy drzwiach w pōlsiedzoncyj pozycji leży Helyna. Lewo rynku na tymblaku. Prawōm rynkōm przitkała se deka do gymby. Drzwi sōm uchylone, na siyni świyci sie światło.

HELYNA GŁŌŚNO WOŁŌ:

Czymu tu tak śmierdzi?! Fto tu kurzi?! Kej tu bydzie świżyży luft?! Jo chca świżego luftu!!

Do izby wlatuje PANI GERTRUDA. Wnerwiono. Fuko kole Helyny jakimś psikadłym:

Zamknij się! Jest cisza nocna! Tu nikt nie pali! A jak ci się nie podoba, to do domu wynocha po ten twój „świży luft”. Wyleciała i głośno prasa drzwi.

Wystraszone HELYNA zaś se dekom przikryła gymba i cicho ślimto:

No katać tu mi tak sztyjc bydōm na paskuda robić. No katać jo tu wiecznie byda. Jaki by musioł być cufal, żeby mie stōnd wziyni. Jezusiczku, wyōnac to jako...

BINA 4

Ta sama izba, yno że bez dziyń. Helyna siedzi na brzegu łōzka, kiwie sie do przoku i do zadku, lewo rynku na tymblaku, przed niōm stolik, na nim rozciepane kredki, jakoś kolorowanka i skrzinka z puzzlami. Dwa inksze łōzka sōm puste, ale rozkopane.

Włazi RŌZIA:

Witej, mamu. Jak sie tu mosz?

HELYNA zaczęła cicho ślimntać:

Ōgromnie mi sie tu brzydnie. Musza sie wybeczeć.

Rōzia siadła kole Helyny na łōzku, poprzōła swojj mamie i tyż sie jij zebrało na bek.

HELYNA:

Jo by musiała is do pana „O”.

Rōzia ôdsuwo stolik, chyto Helyna za zdrowo rynku.

HELYNA:

Niy drij mie. Ty mie yno chyc, jo sie sama wykotlasza.

Włazi PANI GERTRUDA:

Nie, nie, nie, nie! Ja ją zaprowadzę. Pani niech tu zaczeka. Daj mi rączkę. Powolutku. Rób małe kroczi. Powolutku...

Pani Gertruda z Helynōm wylazōm z izby. Rōzia poprawio deka na łōzku, strzepuje zogłōwek, uklōdo kredki. Dźwigo jedna kredka – niynaôstrzono. Dźwigo drugo – tyż niynaôstrzono...

Za chwila Helyna pomalutku przilazi nazod, za niōm pani Gertruda.

PANI GERTRUDA:

No, idź sama. Ja tu jestem. Asekuruję cię z tyłu. Powolutku...

HELYNA, *siado na kraju lōzka*:

Podziynkowoł.

PANI GERTRUDA:

Proszę bardzo. A puzzle już ułożyłaś?

HELYNA:

Ale tu brakuje...

PANI GERTRUDA:

A skąd wiesz? Najpierw ułóż, to się przekonasz, czy brakuje.

HELYNA:

A jak pokoloruja tyn ôbrozek, to dostana naszpicowane kredki?

PANI GERTRUDZIE *zadzwoił w kapsie telefon*:

Słucham? *Wyleciała drap z izby*.

RŌZIA:

Fajno ta dyrektorka.

HELYNA:

A kaj tam! Jak fto tu je, to i po głōwce pohalo i w czōłko pocałuje, a jak tu żodnego niy ma, to rogi pokazuje. Z poczōntku to mi niy chciała rynki podać, yno ryczała po mie: „Chytej rōwnowaga!” Nawet mie pyrtła. A potym żech sie z niōm ciupła skfoli tego kurzynio. To taki kuter z baby. Jo sie jōm boja...

RŌZIA:

Nale fajnie chodzisz. Prosto. W dōma to żeś sie ścian trzymała.

HELYNA:

Nabrałach ôpowogi... Patrz, co mi tu prziniyśli. To sie nazywo terapia zajyn-ciowo: wybrakowane puzzle, niynaszpicowane kredki, a po tych kolorowan-kach to już ftoś krykłoł. Te dwie tuky majōm rozum kaput, niy kapnōm sie, yno chechłajōm tymi tympymi kredkami aże zrobiōm dziura w kartce.

RŌZIA:

A kaj sōm tera?

HELYNA:

Patrzōm na telewizor. Siedzōm tam całe pōł dnia.

RŌZIA:

Ty niy chcesz patrzeć?

HELYNA:

Jo tego niy umia strzimać. Larmo, co chwila te gupie reklamy. Wola se tu sama porzykać, poczytać. Jak jich ni ma, to mōm tu cicho. Ta jedna to nic yno: „ko-kokoko, tototototo, mmmmmmm,” buczy choby z tuby. Na łuszy niy idzie wytrzimać. A jak sie jōm co spytać, to powiy: „Jaaaa, kokokokommmmm”.

RŌZIA:

A jake tu je jedzynie?

HELYNA:

Śniodania i wycczerze sōm take same: chlyb z margarinōm z kyjzōm, wusztym, abo jakeś pački niywiadomo z czego. Dzisiaj były kajzerki. Chwoliły, że świyżutke, jeszcze ciepłe. Przi nos przekrowały je na pōł, a pod nożym to sie jim mozgoł robiōł. Yno jo niy chciała tego jeść, toż sie jim to ôgromnie niyzdało...

RŌZIA:

Jak to sie piyrwyj godało, że..., że...?

HELYNA:

Piyrwejsi ludzie godali: „Niy jydz świyżego, bo ci sie w żołodndku klajster zrobi”. I to je prawda, bo jo to zaro czuja na flakach: tak ciynżko mi sie robi. Nale ôbiady som możliwe, same tukyj warzōm. Dzisiaj były pierogi ruske. Dobre, yno tam kaj były zlepione – to tako rubo gardinka. Jo to ôdkroła, zrobiyłach z tego na talyrzu kwiotek, a yno ôjstrzodki pozjodałach. Toż wszystkie na mie siokły, że jedzynie niszcza i nawet dyrektorka przileciała mie skfoli tego sprzezywać. A jo jim godōm, że jak niy trza, to jo niy chca se pszynicōm flakōw zatykać... Nale żodyn tego niy rozumiy. Czasym dajōm uwarzone jajko na twardo: żōłtko aże zielone. Do tego kōnski tomaty. Tomaty tu majōm głōmbiaste, twarde, w pojstrzodku aże biołe. My na zogrodzie mieli tomaty, co na słońcu żdzalały, miynciutke, słodke choby miōd! – *zamyśliła sie na chwila*. Abo zielōny ôgorek. Jo go niy chca, bo mi sie po nim chepie. Zawsze jedyn i tyn som tyj, cukru nawalone, fuj! Majōm zy mnōm komedyjo, bo jo chca bez cukru. Toż dyrektorka sie pyto, czy mōm cukrzica. Godōm, że niy, a ôna mi godo, że jak niy mōm cukrzice, to moga pić z cukrym. A jo ôd cukru jużech blank ôdbadała. Dyć sie nawet godo, że cukier to bioło śmierć, pra? Roz zrobiyły lazania. Wiysz, nudle, mielōne mlynso, kyjza zapieczone w takij aluminiowyj formyce. Wszyscy to pośmiotali, aż jim sie łuszy trzynsły. A do mie to było za ciynżke, za masne, puczyno mie po tym...

RŌZIA:

No i te gorke aluminium w kontakcie z jedzyniym...

HELYNA:

Jo yno z pojstrzodka trocha wybrała, rantōw niy tykałach. Nale niy mōm tu głodu. Roz zech sie spytała, czy moga dostać kiszōnego ôgōrka. Na drugi dziyń dostali my wszyscy po ôgorku, ale niy bōł kiszony, yno taki z ôctu.

RŌZIA:

A ta kwaska z kapusty żeś se wypila?

HELYNA:

Niy, ôna mi ta flaszka porwała. „Nic kwaśnego!” – pedziała.

RŌZIA:

Jo ci zaś prziwiozła. Świżyżo. Yno schowej se jōm do stolika. Niy trzimej tego na ôczach, co by ci zaś niy wyciepała... Wiysz, mammo, chciałabych doczkać takich czasōw, co bydōm lyczyc jedzyniym. Tak, jak to godōł Hipokrates. Dzi-sio żodyn jeszcze tego niy biere na doprowdy, ani w szpitalach, ani tukyj.

HELYNA:

A jak choć trocha chcesz sie poratować, to cie robiōm za gupigo i niy dajōm se nic pedzieć.... A te dwie tukyj niy umiōm same jeść – ôpiekunki jich futrjōm. Ładujōm jim do gymby gibcij niź te boroczki poradzōm pogryź i połknōńc. Czasym to sie aże dłowiōm. A jak przidzie szaforz, to do tego niypo-grzyziōnego jedzynio w gymbie wcisko komunია...

No ja, każdy sie dzisio uwijo i żodyn niy mo ciyrpca czekać, aż starzik skończy glamdać.

Ōroz do izby wlatuje PANI GERTRUDA:

Zostało wam 5 minut! Ōtwiyro szofka jednyj z pensjonariuszek, coś tam przeciepuje, czegoś tam szuko. Rōzia i Helyna ucichły na chwila.

RŌZIA, *głośno, coby pani Gertruda słyszała:*

W poniedziałek mosz kontrola. Przijedzie po cia transport medyczny i zawiezōm cie na przeświytynie. Jo tu tyź przijada, trocha wcześniej, pomoga ci sie pozbiyrać.

PANI GERTRUDA:

Nie, nie musi pani przyjeżdzać, my ją przygotowujemy. Tylko proszę zadzwonić dzień wcześniej i nam przypomnieć. *Wylazła z izby, ale drzwi ōstawiyla ōtwarte.*

RŌZIA *psipsio Helynie na lucho:*

A skfoli tego kurzynio, toch jij to zgłosiyla. Pedziała, że tu żodyn niy kurzi, a ty żeś je histeryczka.

HELYNA, *tyź po cichu:*

Mogłaś z tym być cicho bo mie sie zdo, że ôna nos podsuchuje. Jo se dała pozor na to kedy fto tu mo dyżur i przy komu śmierdzi. Jak ôna tu je, to zawsze śmierdzi i jeszcze tako jedna. Te inksze niy kurzōm.

RŌZIA:

Kurzōm tu przy wos?

HELYNA:

Niy, yno kajś w siyni musi być jakoś kanciapa. A tyn smrōd tu ciśnie. A potym psikajōm jakimiś wonidłami. Kozie pod ōgon te wonidła! Sama chymia, fuj!

RŌZIA:

Dochtor mi juŹ wypisoł papiŹry do ZOL-u. Yno niy wiadomo jak dugo trza bydzie czekać. Jak sie to udo, to bydziesz tak blisko, Źe piechty byda do ciebie łązić. Byda tyŹ zaś wszyndy dzwŹnić, moŹe znojdzie sie kajś miejsce, kaj niy czuć cygaretŹw...

HELYNA:

Byda ô to rzykać...

Włazi PANI GERTRUDA:

Koniec wizyty! Do widzenia!

RŌZIA *zaś poprzola Helynie, wstowo:*

ToŹ ôstoń se tu z Bogym..

Helyna zdrowŹm rynkom robi, jak bajtel: pa, pa i slimto po cichu.

Bina 4

Ta sama izba, yno Źe na łŹŹkach Źodnego niy ma. RŹzia do dwŹch wielgich taszŹw pakuje łachy ôd Helyny. Wlatuje pani Gertruda. Wnerwiono. Ciepie złościŹm.

Trzimie kartka i wywijo niŹm:

PANI GERTRUDA:

W trybie natychmiastowym?! Coś podobnego! Z czymś takim się jeszcze nie spotkałam!

Czyto, co stoi na kartce, przedrŹŹniajŹncym głŹsyt:

[...] skargi Pensjonariusza na raŹące naruszenia jego dobrostanu ze strony Usługodawcy,

a mianowicie:

1. „Pensjonariusz wyczuwał w swoim pokoju zapach dymu tytoniowego”;

No, coś podobnego! Tu nikt nie pali! Nie pozwalam na to i rygorystycznie tego przestrzegam! Jakbym swojego pracownika przyłapała na paleniu, to juŹ tutaj nie pracuje!

2. „W pokoju Pensjonariusza, uŹyto odświeŹacza powietrza o nieznanym składzie, bez zgody Pensjonariusza i bez upewnienia się, czy Pensjonariusz nie jest uczulony na tego typu preparat”

My uŹywamy tutaj tylko atestowanych, sprawdzonych odświeŹaczy powietrza!

RŌZIA, *spokojnie:*

U nos w doma Źodyn niy kurzi, a odświeŹaczy powietrza tyŹ niy uŹywŹmy. Moja mama niy nabała na take pieroństwa.

PANI GERTRUDA, *lekceważąco*:

PRZEWRAŻLIWIONA HISTERYCZKA. *Czyto dalej*:

3. „Zachowanie jednej z Opiekunek wzbudzało lęk u Pensjonariusza”.

Coś pani powiem! Zapamięta pani moje słowa! Tak wyglądają początki demencji. Za pół roku zobaczy pani, jaka z nią będzie jazda! Takie objawy pacyfikuje się lekami! Błąd! Popełniła pani błąd, że zostawiła jej telefon! Pani matka to osobowość dominująca, owinęła sobie panią wokół palca, a pani jest na każde zawołanie swojej mamuśki. Pani przecież musi mieć swoje życie! Ona nigdzie nie będzie się miała lepiej. Zawsze będzie coś, co się jej nie będzie podobać. I co, będzie ją tak pani przenosić? Życzę powodzenia! Nigdzie też nie będzie miała opieki jeden na jeden.

Ja pani tych pieniędzy nie oddam! Nie ma takiej opcji!

Łagodniej: Mogę jedynie przytrzymać to łóżko tydzień, a pani na spokojnie się nad wszystkim zastanowi.

RŌZIA:

Proszę mi podpisać te wypowiedzynie.

PANI GERTRUDA:

Pieczętkę mam w gabinecie. *Wylazi z izby*.

Rŏzia dalej pakuje, ściepuje ōblycze z deki, dźwigo zogłŏwek. Znodła pod nim ōwinynty ōbrozek z ōjcym Dolindo. Dźwigo go i czyto: Jezusiczku, wyŏnacz to jako...

BINA 5

Świetlica w Domu Opieki imienia Ojca Dolindo Ruotolo. Dwa stoliki, na nich ōbrusy i sztuczne kwiotki, naŏbkoło po trzy fotele, sofa przy ścianie, w rogu lodŏwka, na ścianie wielki ōbroz z ōjcym Dolindo, na drugij ścianie wylŏnczony telewizor. Przy jednym ze stolikŏw siedzi Helyna, mo jakiś łach i spino se go szpyndlikami. Niy mo juź tymblaka, yno na karku powieszony myjtermas.

Słychać ōstry dźwiynek dzwŏnka do drzwi, włazi Rŏzia:

RŌZIA:

Witej, mammo. Jak sie tu mosz?

HELYNA:

Sto razy lepij. Patrz, ta rynka juź mŏm prawie wykuwitano. Juź se poleku umia pitwać: zwynzŏm se ta bluza kole karku. Yno poczosać sie jeszcze niy umia.

RÔZIA:

A wiesz jaki cyrk zech miała, żeby ci załatwić rehabilitacyjo? Chciałach rehabilitacyjo do osoby niypełnosprawnyj w warunkach domowych. Coby cie niy smykać nikaj po przychodniach. Dochtör niy wiedzioł jaki kod na to napisac i trzi razy zech do niego łaziła, żeby tyn kod przepisowoł.

HELYNA:

A ôsmoł to. My tu mōmy gimnastyka.

RÔZIA:

Ja, udało sie. Wiesz kedy mosz kolejka? Dopiyro na bezrok... listopad, to je za 13 miesiyncy...

HELYNA:

A z tamtōm dyrektorkōm, udało ci sie co załatwić?

RÔZIA:

W życiu sie niy przizno, że tam kurzōm. Yno na cia godała, żeś histeryczka i że mosz poczontki dymyncji.

HELYNA:

Ôna sama je bzikniono, a mie by chciała to wpiyrac!

RÔZIA:

Pedziałach jij, że niy przidiesz nazod. Pedziałach tyż, że mōm prawnika, co mi pomoże te piniōndze ōdzyskać, a ôna zaro na drugi dziyń zrobiła przelyw. Nale straciły my na tym 900 złotych.

HELYNA:

Prawnিকowi byś tyż tela dała, abo i wiyncyj.

RÔZIA *wyciōngo z taszki ōbrozek ōjca Dolindo i dowo go mamie:*

Patrz, co zech znodła.

HELYNA:

Ôn mi sie kajś podzioł. Tyś go znodła?

RÔZIA:

No, tak bez cufal. Rzykałaś, rzykałaś i ōn ci tu załatwiōł te miejsce! Śmierdzi tu cygaretami?

HELYNA:

RÔZIA:

HELYNA:

RÔZIA:

Podziwiōm. Jo by tu niy chciała robić. Niy miała bych ciyrpca do tych podōpieczmych.

HELYNA:

Sõm tu tyż take dwie na wõzkach, majõm chyba ze trzi cetnory i niy umiõm sie z nich wykotłasić. A õpiekunki sie z nimi mordujõm... Majõm ś nimi komedyjo na wszystkie strony...

Taki cyrk jest tu miyndzy tymi ludziami... Abo... je tu taki jedyn niywłazły, blank mody, Abrahama tu õbchodziõł, õn sztyjc yno łazi tam i nazod, õpiekunki muszõm dować na niego pozõr, bo jak sie znerwuje to biere sie do bicio. A jo roz sie go pytõm, czy go bolõm nogi. Pedzioł, że niy. Toż mu godõm, co by mi doł te swoje nogi, a jo mu dõm moje, bo mie bolõm. Chwila sie namyśloł, dźwignył ramiynia, õśmioł sie i pado, że niy chce. Abo roz na jadalni pytõm sie go, czy mo głõd. Pado, że niy. „Toż niy jydz”, godõm mu, a õn sie śmieje...

RÕZIA:

Ty to mu umiysz potrefić lepij niż jaki psycholog. A ta pani na wõzku, co tak sztyjc buczy? Czymu õna je na korytarzu, a niy w izbie? Jak zech tu właziła, to jedyn papuc miała sebleczony.

HELYNA:

Bo õna tu niy mo izby, õna je z wyrchu. Widać õni tam niy umieli wytrzymać z tym larmym i beztõż jõm tu dali. Ale jo by tak niy robiła. Jo by jõm wsadziła do windy, nionych jeździ tam a nazod. Roz by na wyrchu było cicho, a roz tu...

RÕZIA:

HELYNA:

Ja, już kupa godzin. Musisz iść...

Rõża:

To õdprowadza cie do izby. Pozbiyrõm ci ta bluzka i szpyndliki. Weźniesz se kryka?

HELYNA:

Niy, bo õna sie dylo. Chyc mie yno pod parza, to sie niy õbala.

Włazi do swojjj izby: A przidź zaś kiedy na tyrtu.

RÕZIA:

Ja, przida.

Bina 6

Kafyjka. Zuzka siedzi przy stoliku, przeglõndo menu. Nerwuje sie, patrzy do õkna, õglõndo wiela godzin, biere mobilniok i dzwoni. Włazi Rõzia.

RÕZIA:

Sorki za spõzniynie, ale byłach u mamy.

ZUZKA:

U mamy? Wyprowadziłaś sie? Kaj teraz miyszkosz?

RŌZIA:

Niy, no, miyszkiom tam kaj zawsze. Mama sie wykludziła. Je w domu opieki...

Zuzka, *oburzono*:

W domu opieki?! Masakra!!! Każ tyż miałaś rozum tak mama z chałpy wyforować!!! To je miejsce do nojgorszego wroga, a niy do włosnyj mamy!!! Wiym, boch robiyła w domu opieki. Ale yno jedyn dziyń. I zaro żech stamtõnd spłotała!

RŌZIA:

Robiylaś w domu opieki? To już niy robisz w tyj świetlicy?

ZUZKA:

To ty nic niy wiysz? No ja, wiela my sie to niy widziały... Trzi... sztyry lata?

RŌZIA:

Bydzie już ze sztyry, abo i wiyncyj. Tyn czas tak gibko leci...

ZUZKA:

Co bierymy?

RŌZIA:

Mie yno kawa styknie.

ZUZKA:

A jo se wezna kawa i kõnsek „płonecznika”

Zuzka wylazi, za chwila włazi z tacõm. Stawio jedna szolka przed Rõziom, a drugo szolka i talyrzik z ciastym przed sobõm. Taca dowo na bok.

ZUZKA:

Ta świetlica środowiskowo zawarli. To znaczy przeõnaczyli ta chałpa na co inkszego, a nos pozwolniali. Toż żech zaczęła szukać roboty. Wszyndy. Wiysz, takich babõw jak my, po piyndziesiõntce, to już żodyn niy chce. Nale bez cufal dowiedziałach sie, że w Domu Opieki „Złomano Kryka” jest robota.

RŌZIA:

„Złomano Kryka”? Wiysz, jak żech szukała miejsca do mamy, to byłach nawet w MOPSie, żeby mi co doradzili. A tam mi padali, że „Złomano Kryka” mo fest zło opinia! Yno niy tam!

ZUZKA:

To prowda. Tam sztyjc szukajõm ludzi do roboty. Jak żech tam prziszła, to wziyni mie bez umowy, bez przigotowanio, zaroz na głyboke wody. Tak po prowdzie, to jo sie tyj roboty niy boła, boch sie leżõncõm teściowõm pora lot õpiekowała. Wiysz, troje dziecek, chop i leżõnco teściowo, mõm praktyka!

Nale tam, tak jak ci godōm, jedyn dziyń Źech yno strzimała... Wiysz, jak sie właziło, to piyknie: kwiotki, stoliki, fotele. A w pojstrzodku tyn zoduch: ta miyszanka stynchlizny, starości, lykōw, szczochōw...

RŌZIA:

I cygaretōw.

ZUZKA:

Tyż. I chyba tam w ogōle ôkiyn nie ôtwiyrali. Sōm tam dwa piyntra. Na dole bōł wielgi telewizor na ścianie. Wiysz, nojlepiej je posadzić starzikōw przed telewizorym, ôni ani niy wiedzōm kaj sōm, gapiōm sie tympo cołki dziyń, a ôpiekunki majōm śnimi świynty spokōj.

Na wiyrchu niy mieli telewizora. Starziki byli tam przywiōnzani do stołkōw, łōzek. Bo jak sie jich nie przywiōnze, to sie pierōm, gryzōm, kopiōm... Poōblykani byli do takich koszul, zawiōnzanych w kroku na wynzeł. Źeby se niy grzebali... no... wiysz kaj... Jedyn leżōncy chop mioł źle pampersa założonego. Lulok na wiyrchu i sie cały pojsoł... Zaś jedna babka to se cewnik wytargała, łōzko zalone, smrōd... A ôpiekunki łazōm z wonidlami i nic yno psik, psik...

RŌZIA:

Te wonidla, tak po prowadzie niy wiadomo co to jest, jaki to mo skład i działanie. Moja mama niy umiała tego strzimać, tak jak smrodu z cygaretōw.

ZUZKA:

Jo tego tyż niy umiała strzimać, mōm alergia. Tyn świat juź mōmy tak zatruty: jedzynie, woda, wszystko, po co se jeszcze dokłodać?

RŌZIA:

Roz na fejsie znodłach taki wpis: majōm kaś w Katowicach ôtworzyć sztudia podyplomowe z aromatoterapii. Bydōm sie uczyć komponować naturalne zapachy ô roztomajtych zortach. Stoło tam, że spełniajōm ône rola terapeutyczno: sprowiajōm, na przykłōd, że sie aż tak wszyskim niy przejmujesz, jeżeś weselszo. Poprowiajōm ogōlny dobrostan psychiczny. Ciekawe, czy szło by coś takigo wprowadzić do domōw opieki?

ZUZKA:

Ja, to by było coś!

RŌZIA:

Yno wiewa by to kosztowało? Juź tera chcōm za pobyt wszyske piniōndze. Wiysz, wysłałach do Wojewōdzkigo Zespołu Do Spraw Orzekanio o Niypełnosprawności wniosek o ustalenie poziomu potrzeby wsparcia. Na dziyń dobry mi go ôdciepli!

ZUZKA:

A po jakymu? Może trza nojprzōd wyrobić ōrzeczynie ō niypełnosprawności?

RŌZIA:

Moja mama mo take ōrzeczynie. Rozchodzi sie ō to, że je u prywatnego, a jak je żeś u prywatnego, to wsparcie ci sie niy noleży, nawet jak je żeś niypełnosprawno. I niy liczy sie to, żech na gwołt potrzebowała pomocy.

ZUZKA:

Musiałabyś jōm do ZOL-u przeniysć.

RŌZIA:

Ja, mōm narychtowane papiōry do ZOL-u. Yno łep se tera łōmia: zrobić to, czy dać se z tym pokōj? Jak to zrobia, to bydzie tonij i bydzie szansa na te wsparcie. Nale tam może sie mieć zaś gorzij, może tam niy bydōm kurzić, ale może być w jednyj izbie z koleżankami, co majōm chory rozum. A tego bych jij niy życzyła. Jak se dom z tym pokōj, to byda dopłocać, żyć biydnie, ale byda mieć gładko głowa, bo u „Dolindo” mama je w dwuosobowyj izbie z łaziynkōm i mo koleżanka, z kierom se idzie pogodać.

ZUZKA:

U „Dolindo”? Przeca tam niy ma miejscl!

RŌZIA:

Jak żech tam dzwoniła, to padali, że niy ma i że wpisujōm na lista oczekujōnych. Niy zapisałach jōm, yno dalij żech wydzwaniła. I znodłach miejsce w „Elfrydzie”. Miało yno być na dwa tydzie, ale akurat ftoś tam umar i zrobijło sie miejsce na stałe. Toż zdecydowali my sie na stałe, ale mama była tam yno pora dni.

ZUZKA:

Podziwiōm. Jo w „Złomanyj Kryce” yno jedyn dziyń wytrzymała.

RŌZIA:

No, bo tam kurzili. Jak mi to mama padała, toż zaś żech drap wszyndy dzwoniła. Nale tych miejscl nikaj ni ma. Miałach w planach złożyć papiōry do poru ZOL-i, ale to je komedyjo, bo każdy tako placōwka mo swoje dokumynty, ōne niy sōm ujednolicone. I z każdym plikym z ōsobna trza łązić do rodzinnego dochtora, ōn to musi wypisować, a niy mo na to czasu. No i zaś żech zadzwoniła do „Dolindo”, żeby jōm wpisać na ta lista oczekujōnych. A tyn dyrektor mi godo: „A co by pani zrobiła, jak bych pedzioł, że tera je miejsce?”

ZUZKA:

Nie wierza!

RŐZIA:

Akurat wtynczos, jak mama była u „Elfrydy”, jakoś pani przjechała z Niymiec i wziyna swoja mama do dom. Tym sposobym zwolniło sie miejsce w dwuosobowyj izbie u „Dolindo”. Ta drugo podopieczno mo zdrowy rozum i dyrektorowi sie rozchodziło ô to, żeby jij dobrać koleżanka tyż ze zdrowym rozumym. No i mama prziszła na te miejsce. Wszystko to tak sie ułożyło, jakby som ôjciec Dolindo to pozałatwio!

ZUZKA:

Ale cufal!

RŐZIA:

I môm mama tak blisko, że bliżyj sie już niy do. A szukałach do nij miejsca w Katowicach, Bielsku, Brynnyj, Ogrodziyncu...

ZUZKA:

I wyobrażosz se jeździć do mamy tak daleko?

RŐZIA:

Jak mama była u „Elfrydy”, toch jeździyla. A tera do nij piechty zaleca. I moga tam is kej chca i siedzieć jak dugo chca. Moga tyż mama brać na szpacyry, abo do dôm. I niy musza tego ugadować z dyrektorym. A do „Elfrydy” toch mogła jechać yno roz w tydniu na jedna godzina. I to dyrektorka za każdym razym decydowała czy w ogôle moga przjechać. Jak w hereszcie.

ZUZKA:

W „Złomanyj Kryce” tyż tak było. Jak w hereszcie – ôni niy chcôm pokazować, jake majôm dziadostwo, a jo miała przileżytość ôbejrzeć to ôd pojstrzodka. Na przikłod, jak przijechoł catering z ôbiadym, to tego jedzynio było mało, a do tych na wyrchu to ô mały figel nie stykło!

Na piyntro jedździyla winda, co sie sztyjc psuła. I yno jedna ôpiekunka wiedziała, kaj w pojstrzodku trzeba potômpać, żeby ruszyła. Jo jim padała, że do tyj windy niy wleza!

W łazyńce mokre myjki pociepane były na jedna buła. Jak zech wieczôr kompala podopieczno, toch z tyj buły wyciõngła przestriżono zoka... Fúj, godôm ci, masakra!

No ja... Starość sie Ponbõczkowi niy udała... My tyż tego za chwila doczkõmy...

RŐZIA:

Psinco prowda! A wiysz ô tym, że sôm na świecie take miejsca, kaj sie starość udała? Kaj starziki żyjom długo i zdrowo?

ZUZKA:

Smolisz gupoty!

RŌZIA:

Ja, padajōm na to Modre Strefy. Je nawet tako zajta i tam stoi, że sōm miejsca na Ziymi, kaj starziki majōm tako „skleroza”, że blank zapominajōm ō tym, że trza umrić! Żyjōm se po sto lot abo i wiyncyj. Sōm tam roztomajte filmy, na kerych idzie ōbejrzeć, jak syniorzy drap lotajōm, ćwiczōm na świyżym lufcie, bawiōm sie, robiōm roztomajte gupoty, jak stulotkowie grajōm na gitarze, śpiywajōm, jak rombiōm patyki, robiōm na polu i w ogōle niy sōm ciynżarym do młodych!

ZUZKA:

A kaj to je?

RŌZIA:

Na przykład: wyspa Ikaria w Grecji, Loma Linda w Kalifornii, Sardinia we Włochach, Okinawa w Japonii, Nicoya na Kostaryce, no i Upper Silesia w Polsce!

ZUZKA:

Co to fandzolisz? Ty mi tu nudli nie wiyszej!

RŌZIA:

No ja, robia cie za bozna... Ale chciałabych, rychtyk bych chciała, żeby my sam tukyj tyż se wyōnaczyli tako Modro Strefa. Patrz, dyć to je blank możliwe: Gotowy przykład już je, żyjemy se w XXI wieku i mōmy już dostymp do całej wiedzy na tymat tego, jak zdrowo żyć. Dzisiaj modny nawet je slow aging. Beztōż ōbie musimy sie wziōnć do roboty, zanim jeszcze fest niy stynkōmy. Ale tak do porzōndku, bo dobry rozum i sprawność na stare lata – to niy je cufal!

Bartłómiej Wanot

PERSŌNY:

1. – chop we strzednim wiyku, ze brodōm a literackim szalyństwym we ôczach
2. – chop trocha rubszy, nale uśmiychniynty
3. – chop trocha starszy, szło by pedzieć dystyngowany, bo mo dobrze zawiōnzany binder
4. – baba, co już niyjedno w życiu widziała

BINA 1

Siedzōm we sztyrzo przy stole i myślōm.

1. (*stowo i czyto z kartki, gibko, we rytmie cuga*):
Stoji kole blachy i wzdycho, i dziwo sie na tyglik, na kerym skwiyrczy prymitywny miszōng krupy i miynsa, bezpardōnowo zapakowany we strzewo zwiyrzyńca, co jak jeszcze niy bōło zapakowane we strzewo, to ani niy podyjzdrzywało, iże skōńczy na starym żeliwnym tygliku tak samo staryj Porwołki, we towarzistwie margaryny i cebule, a terazki, kej już sie znodło, tym barzij tego niy podyjzdrzywo i niy podyjzdrzywo już niczego, bo podyjzdrzywać niy może, aże trefi na talyrz starego Porwoła i na widołka starego Porwoła, i do żelōndka starego Porwoła, i smiyni sie w to, czym bōło, kej niczego niy podyjzdrzywało, bo podyjzdrzywać jeszcze niy mōgło.
Zgrziypiyniy drzewniannego zola to znak, iże idzie Porwoł. Sztyrdziyści dwa lata i trzy tydzie wczaśnij take same zgrziypiyniy ôznoczało, iże idzie soldat bratnij armije, coby ôdebrać to, co mu sie podle moralnego kodeksu zwiyciynczōw noleżało, i co staro Porwołka, kej jeszcze niy bōła starōm Porwołkōm, ôddowała ze nolyżniy skrywanym ôbrzidzyniym.
Nale sztyrdziyści dwa lata i trzy tydzie niyskorzij te zgrziypiyniy zola ôznaczać mōgło yno starego Porwoła. «A dyć godałać mu, co mo tyn zol zbajstlować» – pōmyślała staro Porwołka, nic ale niy pedziała, bo stary Porwoł spożōł już bōł wtynczos Raciborske klasyczne ze Zōmkowego Piwowaru, jasny lager ze dōminacyjōm słodyczy i leko wyczuwalnōm goryczkōm, siedym procynt

ôbyntości alkoholu, niyjedne zresztôm, i na urzykaniy staryj Porwołki tak by tak niy doł by pozôr.

Dło staryj Porwołki stary Porwoł bôł tak samo ôszkliwy jak mody lojtnant Iwanow sztyrdziyści dwa lata i trzy tydzie wczasnij. Ônego płytko «Ja, ja, ja» ślywało sie ze «Da, da, da» ôd lojtnanta Iwanowa i tumiõnym «Cha, cha, cha» ôd staryj Porwołki, kero w beziylności i bezradności upatrowała zdrzõdła śmiychu, bo w czymś upatrować zdrzõdła śmiychu musiała, coby beziylności i bezradności niy ôddać sie bez restu, skoro musi ôddować sie juź starymu Porwołowi i w tym samym czasie, yno sztyrdziyści dwa lata i trzy tydzie wczasnij, modymu lojtnantowi Iwanowowi.

(pauza)

Nõ, co powiyecie?

2. *(wycofany):*

Niy nõ, to miały być yno maluške przerõbki... Modernizacyjo starego tekstu.

1.: Tak żech zrobiõł.

2.: Podug mie za duge to je. I za twardośćcie to napisali.

1.: Twardoćh to napisoł? Toście, chopie, jeszcze twardych tekstõw niy widzieli!

2.: Na, sami sie podziwejcie, jak to bõło we ôryginale. Panie sekrytorzu, przeczytocie?

3.: Toć.

(biere szkartka, po literacku ôdchrzõnkuje i czyto, choby deklamowoł poymat.

Jak szauszpiler poradzi, to nawet «ł» dło efektu może czytać na maniyrã polskiego «ł scynicznego»)

Przi piecu stoła,

Krupnioki grzoła,

A õn jõm majt-majt-majt,

A õna sie śmioła.

2.: I co, niy widzicie rõżnice?

1.: Niy.

3.: A jo to rozumia.

2. *(zdezõriyntowany):* Co?

3.: Ta potrzeba dekõnsztrukcyje.

4. *(tyż zdezõriyntowano):* Czego?

3.: Dekõnsztrukcyje ślõnskij idyntyfikacyje. Ta aspiracyjo do redefinicyje naszego etnosu. Toć, musimy znõńś transformacyjo, alternacyjo, coby zlokalizować ta kwintesyncyjo naszymy egzystyncyje, coby selekcjõnować i precyzować prymarne fõndamynta naszymy kõmpozycyje. Żeby mieć nacyjõnalny kõnsynsus,

muszymy resilezjanizować gýneracyje. Żeby ta dekõnsztrukcyjo mitologizacyje bõła tak po prowdzie rekõnsztrukcyjõm i remitologizacyjõm.

(pauza)

I to wszyjsko podug modernych pryncypiõw!

- 4.: Jerõna, chopie, Wy'ście sõm Ślõnzok abo Rzimianin? Dēcõnstrüctiõ, dēcõnstrüctiõnis. Ręcõnstrüctiõ, ręcõnstrüctiõnis. Choby'ch zaś bõła w szkole na lekcyji łaciny. Aż mi sie spõmniõł profesõr Dąbrowski (*lektorka w tym mianie wyraźnie, na polsko maniyra, wymowio A*), pamiyntõm go prac mie po łapach, bo'ch accusativus cum infinitvo przekłodała na polsko godka niy tak, jak trza.
- 3.: Ale my muszyny, muszyny dekõnsztruować! Bo jak niy, to take Dąbrowske nos same zdekõnsztruujõm! A jak nos zdekõnsztruujõm, to sie wtynczos już niy zrekonstruujemy, õj niy, uwiyrz.
- 2.: W tyj formie to ale niy śmiy põjs.
- 1.: Podug mie śmiy.
- 2.: Panie kamracie, trocha pokory.

(pauza)

Ftoś mo inkszy forszlag?

- 3.: Jo napisõł taki kõnszrzeczek...
4. (*zlynkniõno, szeptym*): Pater noster quĩ es in cælis...
- 2.: Śmiało, czytejcie.
3. (*stowo, syjmuje brele i wraźuje do kapsie w szakecie, biere do rynki tekst, zaczyno szukać brelõw, yntlich znojduje, zakłodo, õdchrzõnkuje i czyto, takim głõsym, jak sie czyto bojki do bajtli abo wykłõd dlo sztydyntõw*): Kej Mały Princ przifurgoł na nastympno planeta, usłyszõł sie śmioć jedna baba.
- Czamu sie śmiejecie? – zagodnõł ja.
 - Bo mõi chop mie majt-majt-majt – õdpediała baba.
 - A czamu õn Vos majt-majt-majt? – dopytõł Mały Princ ździwiõny.
 - Bo õboczõł mie õd zadku, jak'ech grzoła krupnioki, i sie niy mõi strzimać.
 - To po co'ście grzoli te krupnioki?
 - Bo'ch wiedziała, że bydzie miõł głõd, jak bydzie zmachany.
 - A czym õn miõł sie tak zmachać? – niy ustowõł pytać dociyrny Mały Princ.
 - Anõ tym majt-majt-majt – pedziała baba i śmioła sie dalij.
- «Te Ślõnzoki richtig majõm ale ipi» – põmyślõł Mały Princ i pofurgoł z gorkim krupniokym w rynce na inkszo planeta.

(*tyjatralnie siodo*)

4. (*z francuskim akcyntym*): Ulala!

2. *(marszczy brwie, przesłonio rynkōm czoło i ôczy, widać pō nim psychiczny bōl):* I co to mo być?
- 3.: To je, zocny panie, intertekstualność i parafraza.
- 2.: Nale... po co?
- 3.: Bo muszyny połnymi gorzciami czerpać inszpiracyjo ze dobrych ojropejskich mustrōw. Połnymi gorzciami!
4. *(cicho, pod nosym, do siebie, i to fest gibko, niyzauwożanie dlo reszty, coby niy poprznić dynamiki dialogu):* Plēnis manibus...
- 1.: A co, nasze ślōnske mustry jake gorsze?
- 3.: Ja. Gorsze, bo hermetyczne, zawarte w tych naszych ślōnskich sztyrech ścianach, w tych naszych ciasnych ślōnskich gowach. Narracyje ô szkacie, briwach i ôdwyoczno utropa, jak napisać po ślōnsku poymat, bo żodyn niy zno rymu do słowa „koulkastła”.
- (Przi nastympnym zdaniu syjmuje binder)*
- Sōmmy zawarte choby bratheringi w krauzie, duszyny sie! Niy mōmy ôpowogi ôtworzić dźwyrzōw naszego familoka, bo sie bojmy, że nōm świeżego luftu naleci, kej nōm przeca je dobrze w tych naszych smrodlawych skuli starych kachlokōw izbach. A my muszyny. Muszyny!
- 2.: Co muszyny?
- 3.: Muszyny sie ôtworzić! Bo świat to je tyjater. All the world’s a stage, godo wōm to coś? Świat to je tyjater, a nasze familoki to je bina. I my muszyny zbulić ta sztworko ściana w naszych familokach, bo ôna nōm yno zawodzo.
- (do losowego ôbranego czowieka na widowni)*
- Mōm prawie?
- 2.: To jedźcie do Bytōmia. Na Karbiu to niykere familoki niy majōm ani sztworky ściany, ani trzech inkszych.
- 3.: Nale ślōnskość musi sie zmiynić!
- 4.: Yno jak?
3. *(żywo gestykuluje):* Dziwejcie sie, weźcie sie takigo... krupnioka. Pokoźcie go czowiekowi z jakigoś kulturalnego miasta. Niy żodyn Bytōń, yno *(ze francuskim akcyntym)* Paris. Montréal. Lviv. Marseille. *(wroco normalny akcynt)* I pedzcie mu, że to je krupniok i żeby sie sprōbowoł. To vos ôbsmiyje. Ôbsmiyje! Bo to niyma seksi, wiycie? To niyma fajne, to niyma subtelne. A terazki mu pedzcie, że to je „le croup-gnoque”. Ludzie, te „le” robi tako różnica, że sie raja bydzie ustowiała! Nale na razie ta nasza ślōnskość i tyn nasz krupniok to niyma żeli-papō, to niyma Champs-Élysées, salut, ça va, oui-oui!

- 1.: Nō, tyn krupniok to przed świniobiciym to godoł oui-oui, i go to niy uretowało.
- 3.: Mie niyma do wicōw, drogi kamracie!
4. (*niy za gibko, coby widz zrozumioł, każde zdaniy ôsobno akcyntowane, przecinki tyż sam stojōm niy yno do ôzdoby*): Nale, widzicie, to je inkszo rzecz. Bo możecie weznōńc tego ślōnskigo krupnioka i maznōńc go z wyrchu diżōńskim zymftym, to to dalij bydzie krupniok. I to może być dobre, kej sie bydymy tyn diżōński zymft importowali a potym przedowali „le croup-gnoque à la dijonnaise”. Nale jak chciecie tego naszego krupnioka, takigo ciynżkigo, potynżnego, usmazōnego na tustym abo na margarynie, ze cebulkōm a kiszōnōm kapustōm, tyn istny wulgarny delikates hajera przodowego po szychcie – weznōńc i ôrdynarnie wciś do telkigo szykownego francuskigo kruasana, to to niy bydzie „le croissant au croup-gnoque”, drogi kamracie, yno gōwno. Gōwno. Bo to już niy bydzie ślōnske. To już niy bydzie Ślōnsk!
- 3.: A wy isto niy chytocie, że Ślōnsk, coby być Ślōnskym, musi (*kwila zawahanio*) przestoć być Ślōnskym?!
- (*patrzy na Ździwiōnych kamratōw i widzi, że niy chytajōm*)
- Niy chytocie!??
- 2.: Nō, niy do kōńca...
- 3.: To jo wos smola...
- (*stowo, ciepie taszōm na stōł i wylazi. Przed samym wyjściym jeszcze yno ciepie do 2.:*) I to mo być kolega...

BINA 2

Dalij siedzōm i myślōm, nale już yno we troje.

- 2.: Wziōn i poszoł
- 1.: Bo Wy’ście tyż sōm fajni. Stary byk, a w take pyskōwki sie plōntocie. Ech...
- 4.: Nō, to tyn... Coś jeszcze? Bo... Chopa niyma, to co robimy? Idymy tyż? Bo jo by, powiył szczyrze, cosi zjadła.
- 2.: Poczkejcie yno, mōm jeszcze jedyn tekst. Prziszoł dzisio e-brif.
- 1.: Czytajcie.
2. (*zakłodo brele, biere do rynki papiōr, czyto*): Zocne frojndy! Z anfangu prosza ô fercajhōng, co’ch niy mōg hojty przilyż, bo mōm arbajtynflichty, a krōm tego słyszōł żech, że plac mocie yno dlo sztyrech lojtōw. Tōż abszikuja swōj tekst, bo w ôriginalnym za fest polōnizjrujecie:

(poprowio brele, ôdchrzōnkuje)

Przi hyrdzie sztandowała

Blōtwurst erhicowała

A ôn jōm gymajt-gymajt-gymajt

A ôna sie lachała

(syjmuje brele, ôczekuje kwilka)

I co powiyecie?

- 1.: Mocie recht, idymy na ôbiod.
- 4.: To co dzisio? Dewolaj? Bœeuf bourguignon? Svíčková?
- 1. a 2. cuzamyn: Krupniok! Po starymu.
- 4.: A co z tekstym?
- 2.: Tekst niych już ôstanie, jak bōł.

ÔN CZYLI O KROK OD RATHAUZU

Peter Wiescholek

PERSÖNY

Birgermajster

Sekretarka

Redachtor

BINA 1

Gabinet birgermajstra małego gōrnoślōnskigo miasteczka

BIRGERMAJSTER (*dzwōni*):

Niy, panie Klimza! Już zech wōm sto razy padoł, że niy!

ślucho

Niy, panie Klimza! Po czamu mōm być nerwowy?

ślucho

No to wōm powiy, jak już tak chcecie! Można zech je i trocha znerwowany ale jak mōm niy być znerwowany jak durch dzwōnicie z tym samym!

ślucho

Ja, gynau o tym ta godka! Wy chcecie coby go upamiyntnić a jo wōm padōm, że niy idzie... To niy były nasze wojoki, panie Klimza, czy to tak ciynżko wōm spokopić? Niy, ich upamiyntniajōm te, co ich do tego marasu do Rusyje posłali, niy my! Jo wōm naprowdy współczuja ale nic niy moga zrobić.

ślucho

A Ślōnzok zech je taki sōm, jak i wy! Tela yno, że mōj opa zaro uciyk do naszych! Tak jak sie noleżało! Wasz fater tyż mōg uciyc, to by mu sie te niyszczynście niy przytrefiło!

ślucho

Ciotka Trudka mi padała, że wszystkie Ślōnzoki uciekali. A obrażać mie niy musicie! Przeca wiycie, że mie niy wybrali z PiS-u, to po co mi ubliżocie?

Odkłodo słuchawka i godo sōm do siebie

Pierōna kandego, tyn stary Klimza wpyndzi mie do grobu! Durch ta samo lajera...

Naroz se coś spōmino

Ula, Ula...! Pōdź tukej!

Włazi sekretarka, fest wysztiglowano. Szpilki, dekolt, miniōwa.

SEKRETARKA:

Ja, Achim?

BIRGERMAJSTER:

Suchej, Ula, wiela razy zech ci padoł, że tu, we tym rathauzie, we tych czcigodnych murach jo niyma żodyn Achim?

SEKRETARKA (*podłazi blank blisko do birgermajstra*):

Niy może być coby pan birgermajster zapōmnioł... Bo te czcigodne mury jeszcze dzisiaj sie czerwiyniōm jak se spōmnōm jak pan birgermajster...

BIRGERMAJSTER (*przerywo fest polynkany*):

Przestoń, Ula, jeszcze fto usłyszysz... Powiydz mi lepij czamu żeś mie zająś połōnczyła z tym starym Klimzōm? Tela razy zech ci padoł, co mie niyma jak ōn dzwōni!

SEKRETARKA:

Jo go niy poznała bez telefōn! A do tego dzwōniōł inkognito.

BIRGERMAJSTER:

Niy poznałaś starego Klimzy? Ula, czy przez ciebie koń godo? Przeca ōn sie jōnko i seplyni? Stary Klimza niy może dzwōnić inkognito. Jak idzie ...

Nagle włazi ftoś przez otwarte drzwi

REDACHTOR:

Przepraszam, ale było otwarte. Witam birgermajstra! Witam pannę Urszulę, prawdziwy klejnot w tych czcigodnych murach!

BIRGERMAJSTER:

Eee... Ja... Richat, włazuj, bardzo prosza...

SEKRETARKA (*po cichu*):

Przeca już wloz.

BIRGERMAJSTER:

Ja, no toż włazuj i siednij se. Dugo żeś tu już je?

REDACHTOR:

Niy, tera zech wloz...

BIRGERMAJSTER:

No i co powiesz?

REDACHTOR:

Przeca to ty żeś chcioł zy mnōm godać.

BIRGERMAJSTER:

Ja, mosz recht. Wybocz, Richat, ale prawie co zech dzwōniōł ze tym starym Klimzōm i jeszcze tera zech je cały potytrany. Niy mosz pojyncio jaki sie zrobiōł upierdliwy.

REDACHTOR:

Achim, starego Klimzy znōmy przeca od bajtla. Wysz że niy miōł leko.

SEKRETARKA:

Siyrota przeca.

BIRGERMAJSTER:

Siyrota? Przeca ōn je juź po dziywiynćdziesiōntce! To co mo być?

REDACHTOR:

Ale całe życie bez fatra. Mosz kawa?

BIRGERMAJSTER:

Ja, jasne! Pani Urszulo, niych bydzie pani tako grzeczno i zrobi nōm dwie kawy.

SEKRETARKA:

Ja, panie birgermajster, byda tako grzeczno.

REDACHTOR:

Ja, u mie Klimza tyź bōł. Ale niy sōm...

BIRGERMAJSTER:

Co to znaczy że niy sōm? A z kim?

REDACHTOR:

Jerōna, taki mōm smak na ta kawa! Bez cukru ale trocha mlyczka!

BIRGERMAJSTER:

Pani Urszulo, czy nareszcie dostanymy ta kawa?

SEKRETARKA (*nafuczało, pokazuje muki*):

No przeca juź ida...

Sekretarka wylazi

REDACHTOR (*po cichu*):

Ōn bōł z nim.

BIRGERMAJSTER:

Ōn? I co pedziōł?

REDACHTOR:

Że stary Klimza mo recht. Że to je arogancjo tukejszego establiszmyntu, ftory trza ruszyć z posad. I że Ślōnsk first!

BIRGERMAJSTER:

Co?

REDACHTOR:

No, że Ślōnsk first, tak jak Tramp pedzioł, że Amerika first to òn pado: Ślōnsk first. Take mo hasło wyborcze, pra...? Amerykański styl.

BIRGERMAJSTER:

Jerōna, tak jak Tramp!

REDACHTOR:

Ja, a jak niy, to pado: zaorać i zaloć gnojōwōm.

BIRGERMAJSTER:

No to jak to? Tu niby first a tu zaorać?

REDACHTOR:

Jak przegro to zaorać. I zaloć...

BIRGERMAJSTER:

Jerōna... To może by uprzędzić tych pora gospodarzōw, co jeszcze tu mōmy, coby uwożali na pługi? No i Jurkowi ze kōmunalki pedzieć coby miał beczkowsy na ôku? Òn ze Pōmykołym tyż godoł. Ale yno ło establiszmyncie. Ale Pōmykoł niy umi se poskłodac co mu tak richtig pedzioł.

REDACHTOR:

Achim, ze tym zaoraniem to przeca yno przenośnia. Chwyt we kampanii wyborczyj, pra...? A zresztōm na twoim miejscu to bych sie staroł, co òn zrobi jak wygro, a niy jak przegro. Apropos Pōmykoła. Co òn tam robi na dole przed rathauzym?

BIRGERMAJSTER:

Kozołech mu pōmalować zilberbrōnzōm te literki na tabuli. No, wiysz, ło Tragedyji Gōrnoślōnskij. Skuli tego chciołech tyż z tobōm godać.

Włazi sekretarka ze kawōm

BIRGERMAJSTER:

Dziynkuj, pani Urszulo. Mōm jeszcze jedna prośba, coby była pani tako dobro i prziniosła nōm po kōnsku zisty.

SEKRETARKA:

Jerōna, tak jakby niy szło tego łod razu pedzieć!

Sekretarka wylazi jeszcze bardzij nafuczalo

BIRGERMAJSTER:

Richat, my se tera niy mogymy pozwolić na żodyn feler. Widzisz jak to je. Czowiek haruje latami, niy dosypio, yno ło społeczyństwo myśli, jak mu tu

sużyć. A tu przidzie taki paciulok i pado: establiszmynt. I chce czowieka ruszyć z posad! Kajś żech to już słyszol! Ty tyż se już niy możesz pozwolić na żodyn feler.

REDACHTOR:

Jo? A co jo mōm z tym spōlnego?

BIRGERMAJSTER:

A cumbajszpil tela, że jak ôn wygro, to może se winszować nowego redachtora do gazety. Abo ganc jōm zlikwidować... Beztōż suchej dobrze: musisz tera pierōnym uwożać. Na każde słowo co piszesz. A przede wszystkim na każde zdjyncie, co robisz. Po to żech cie dzisiej zawołał. Miolech przeczucie że Ôn bydzie szterowoł nasze miyjskie władze jak umi, ale sōm żech niy przypuszczol że je tak brynclich. Beztōż suchej: hned bydzie rocznica. I niy może być tak jak we ôstatni roz, co we twójij gazecie na piyrszyj strōnie Ula drze dziub łod ucha do ucha! My wszyscy: jo, starosta, a nawet tyn dupek ze Katowic, wszyscy poważni jak sie noleży, spōminōmy we skupiyniu ruske barbarziństwo, a ta sie lacho jak gupio! A we rynekach wiyniec biołoczerwōny! A ôna się lacho.

REDACHTOR:

Ale...

BIRGERMAJSTER:

Niy, Richat, tym razym wszystko musi być tip-top. Ula se możesz zaprosić na prywatno sesjo zdjynciowo, choby i do Plejboja. Choć bych sie bardzo dziwowoł, jakby sie zgodziła po tych wszystkich skandalach, co żeś tam narobiol! Ale to twōj gyszef, jo ci sie do niego niy byda wrażol. Ale gazeta musi sztimowac ze politykōm magistratu czyli mojōm. W końcu prasa je drugōm siłōm w państwie! Chyba Lynin tak pedziol.

REDACHTOR:

Niy Lynin i niy drugōm, yno czwortōm.

BIRGERMAJSTER:

Egal. No i tych niybiesko-żółtych fanōw niy musi być tak dużo widać na zdjynciach. Jedna styknie, a niy pora na każdym zdjynciu. Już mōm z nimi i tak dość ôstudy. Przilażōm do mie ludzie i padajōm: czamu nasza fana niy wisi na rathauzie? No, toż padōm: przeca wisi. Nasza i europyjsko. A ôni na to: ale kaj nasza ślōnsko fana? Richat, forgot padōm ci: Jo tyż je przeca Ślōnzok, kazuja Pōmykołowi jōm roz w roku wywiesić. Ale po co mo wisieć bez cołki rok, jak kajś tam we opolskim? U nos je przeca Gōrny Ślōnsk, niy musimy wszystkigo ze opolskigo małpować, pra...?

Sekretarka włazi ze zistōm. Dowo chopōm po kōnsku i siado na stolku.

BIRGERMAJSTER:

Tera już wiym fto ludziów podburzo przeciwko władzy. Ale Ôn sie przeliczô!
Ale musimy być zgodne, władza ze środkami masowego przekazu, niy...?

REDACHTOR:

Achim, ty wiysz że możesz na mie liczyć. Opowiadolech ci już jak byli u mie te, co to chcieli trzi lata wcześnij jubileusz ôd szkoły fajrowac? Jo im godôm: chopy, poczkejcie jeszcze trzi lata, szkoła bydzie miała rōwne sto lot! Piykniyszego jubileuszu se niy mogecie wyobrazić. A ôni na to, że szkoła mo gynau 130 lot i gazeta mo to fajrować. Tlumacza, że za trzi lata mogymy spōmniec o tym, że już zaborcy zaczli z tōm szkołōm. Ale rozkwitła przeca dopiyo za staryj Polski. Jakbyś grochym o ściana!

BIRGERMAJSTER:

Widzisz, Ôn za tym stoi... Ale ludzie tu niy sōm winne. Pado sie, że niyma zainteresowanio historiôm, patryjotyzmym. A spōmnij se wiela luda prziszło jak my robili ta inscynizacja powrotu do Macierzy?

REDACHTOR (*lacho sie*):

Jak bych mōg zapōmniec, jeszcze tera mie boli brzuch ze śmiychu jak se spōmna jak Pōmykoł przebleczōny za powstańca walił młotym po tyj kecie pruskij niywoli!

BIRGERMAJSTER (*tyż sie lacho*):

Bo walił niy na tyj szteli, kaj trzeba! Jakbych mu dyskretnie niy pedziol: pōł metra w lewo, to by my do dzisiej jeszcze jynczeli pod pruskim buciorym!

BINA 2

Tyn sōm gabinet

BIRGERMAJSTER:

No i widzisz, Ula... Zaś sie tu spotykōmy. Nalyj po jednym kōniaczku ale z tego dobrego, do nojlepszych gości!

Sekretarka nalywo i oba pijōm

BIRGERMAJSTER:

A tak żeś sie boła.

SEKRETARKA:

Jo sie boła? Achim, przeca to ty żeś trzōns galotami. Sekretarka Ôn by tyż potrzebował. Ale drugigo birgermajstra na pewno niy.

BIRGERMAJSTER:

No ja, trocha głosów jednak dostał. Ani żech sie niy spodziywoł, że tela dostanie... I to patrz skuli czego?

SEKRETARKA:

No, skuli czego, Achim?

BIRGERMAJSTER:

Sôm niy wiym, przeca niy skuli fany, abo...?

SEKRETARKA:

Achim, abo mi sie zdało abo Põmykoł smyczōł prawie co ślõnsko fana na gõra?

BIRGERMAJSTER:

Ja, kozoł żech mu sprawdzić we internecie ftoro farba je na wiyrchu, a ftoro na dole. Jedyn godoł tak, a drugi tak... Ula, wiysz co pedzioł taki jedyn Chińczyk, Kõnfucjusz?

SEKRETARKA:

Niy, skõnd mõm wiedzieć?

BIRGERMAJSTER:

Czowiek uczy sie cołke życie a i tak przeważnie umiYRO gupi!

SEKRETARKA:

Achim, skõnd ty wiysz te wszyske mõndre rzeczy?

BIRGERMAJSTER:

Ja, Ula... Ucza sie całe życie. Ôn mie tyż czegoś nauczoł.

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

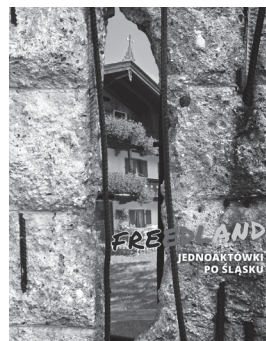
zobacz wszystkie jednoaktówki po śląsku



2012



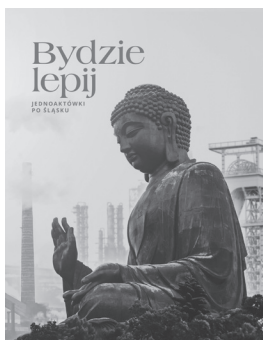
2013



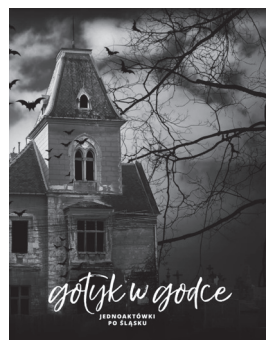
2014



2015



2016



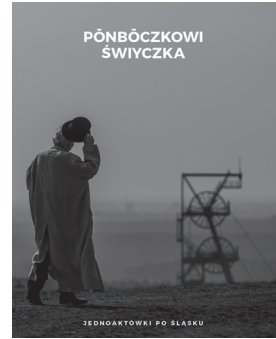
2017



2018



2019



2020 (ebook)



2021



2022



2023



2024

miasto-ogrodow.eu

Zobacz

Posłuchaj

Doznaj



KATOWICE
dla odmiany



KATOWICE
MIASTO MUZYKI
UNESCO



KATOWICE
Miasto Ogródów
Instytucja Kultury
im. Krystyny Bochenek

Katowice Miasto Ogródów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek
plac Sejmu Śląskiego 2, 40-032 Katowice

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-63304-65-2